CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 26 LIPCA 1936 R. NR. 25



GUSTAW ORLICZ-DRESZER

GENERAŁ DYWIZJI, INSPEKTOR ARMJI

ZGINĄŁ ŚMIERCIĄ TRAGICZNĄ W NURTACH BAŁTYKU DNIA 16.VII. 1936 ROKU.

W ZMARŁYM STRACILIŚMY TOWARZYSZA PRACY NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ DAWNEJ ORGANIZACJI MŁODZIEŻY NARODOWEJ I ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ, KTÓREGO ZASŁUGĄ DZIEJOWĄ BYLIŚMY DUMNI.

WZYWAMY CZŁONKÓW NASZYCH ORGANIZACYJ DO UDZIAŁU WE WSZYSTKICH UROCZYSTOŚCIACH I INICJATYWACH, MAJĄCYCH NA CELU OKAZANIE HOŁDU WIELKIEJ PAMIĘCI ZMARŁEGO.

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU POLSKIEJ MŁODZIEŻY
DEMOKRATYCZNEJ R. P.

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU SENJORÓW ORGANIZACJI
MŁODZIEŻY NARODOWEJ I ZWIĄZKU
POLSKIEJ MŁODŹ. DEMOKRATYCZNEJ

Zdzisław Lechnicki

Ostatnie pożegnanie

Imieniem towarzyszy dawnej młodzieńczej pracy, imieniem zespołu wychowańców dawnej Organizacji Młodzieży Narodowej, DAWNEGO ZETU, żegnam Cię, Gustawie, — odchodzącego na wieczny spoczynek ŻOŁNIERZA NIEPODLEGŁOŚCI, żołnierza Państwa i Narodu Polskiego.

Niechaj — w tej godzinie wieczystego rozstania — wolno mi będzie powrócić do tych najpierwszych lat Twojej pracy dla Polski, w których stanąłeś do służby Ojczyźnie, do służby, która miała Cię potem postawić w rzędzie najzasłużeńszych dla sprawy.

Widzę Cię jeszcze wśród nas, wśród grona młodych, w trudnej pracy dorastających, działaczy zrazu gimnazjalnej, potem akademickiej Młodzieży Narodowej. Widzę Cię, jako kilkunastoletniego chłopca, wespół ze zmarłym, jak i Ty przedwcześnie, Kazimierzem Wyszyńskim, biorącego na barki swe ciężar wielkiej odpowiedzialności za akcję czynną bojkotu szkoły rosyjskiej w dawnym zaborze rosyjskim. Widzę Cię, jak—przerywając studja zagranicą — powracasz do kraju, by stanąć na czele tej akcji, gdy walka o szkołę polską zdawała się już słabnąć i załamywać. Widzę Cię, jak — znowu wespół z Kazimierzem Wyszyńskim — z tą niezłomnością decyzji i woli, która Cię w całem Twem życiu miała cechować i wyróżniać, stajesz w naczelnym szeregu Organizacji, w momencie innej, niemniej trudnej i odpowiedzialnej decyzji, która była decyzją wypowiedzenia najbezwzględniejszej walki wszystkiemu, co w ówczesnem życiu Polski było, lub stawało się, czynnikiem ugody, czynnikiem wyrzeczenia się ostrej i bezwzględnej walki o wolność, zdobywaną „krwią i żelazem".

Decyzja ta była w całej ówczesnej pracy naszej momentem przełomowym. Płynęła ona z najistotniejszego przekonania, że słowa „DLA POLSKI", że praca pod hasłem „dobra Narodu", mogą znaleźć realne uzasadnienie tylko w równoczesnem przygotowaniu się do walki zbrojnej o Niepodległość. I stąd wysuwały się konsekwencje, narastały obowiązki. Zrozumieniu tych konsekwencyj i obowiązków dałeś w chwili próby dziejowej wyraz — jak zawsze — jasny i bezkompromisowy, przedzierajac się, w mundurze rosyjskiego oficera, poprzez front, pod sztandary walczących o wolność, pod rozkazy Wielkiego WODZA NARODU, w którym znalazłeś czynnik DZIEJOWEJ WOLI i odpowiedzialności. Wodzowi temu pozostałeś wierny wiernością żołnierza, umiłowaniem synowskiem, służbą bez kompromisu, lęku i wahania.

Wahanie, lęk i kompromis, wszystko, co nosi w sobie cechę słabości, obce było Twej naturze żołnierskiej, od lat najmłodszych do chwili tragicznego, lecz pięknego zgonu w umiłowanej fali Bałtyku. Stąd też tak szybko na nieporównanie piękne karty Twej służby żołnierskiej padł urok największej chwały dziejów, RYCERSKIEJ LEGENDY.

Nie moją rzeczą jest mówić tutaj o Twej żołnierskiej zasłudze. Pragnę tylko podkreślić, że koleje tej zasługi my, towarzysze Twej młodości, śledziliśmy zawsze z głębokiem uczuciem zadowolenia i dumy radosnej. Myślą, sercem i czynem zawsze byliśmy z Tobą, — ŻOŁNIERZU WODZA I WODZU ŻOŁNIERZY, — od pierwszych dni Twej służby legjonowej aż po pamiętne boje warszawskie majowych dni roku 1926. Z dumą i zadowoleniem widzieliśmy, że w walce o prawdziwą wielkość Polski jesteśmy zawsze zgodni, zawsze jednomyślni, tak jak zgodni i jednomyślni byliśmy w zaraniu naszej wspólnej pracy, na ławach gimnazjalnych i w akademickiej organizacji Związku Młodzieży Polskiej.

Byliśmy dumni jeszcze i z innego powodu. Widzieliśmy w Twoim całym stosunku do dzisiejszego życia polskiego wierność i innych hasłom i nakazom naszej młodzieńczej pracy. Widzieliśmy w Tobie nieosłabiony niczem pęd do rozwoju wszystkich dziedzin życia polskiego, który postawił Cię na czele tak wielu i tak ważnych PIONIERSKICH działów polskiej pracy. Widzieliśmy w Tobie tę wielką wiarę, że tylko w oparciu o energję całego Narodu mogą powstawać dzieła o nieprzemijającej wartości, widzieliśmy w Tobie ten WIELKI I ZDROWY INSTYNKT SPOŁECZNY, który kazał Ci w każdym obywatelu, w każdym pod Twemi rozkazami pozostającym żołnierzu, widzieć pełnowartościową część polskiej siły, polskiej przyszłości państwowej, polskiej potęgi i chwały w historji.

Widzieliśmy w Tobie i inne cechy, z których byliśmy dumni, myśląc, że oto wyniosłeś je ze wspólnej szkoły myśli, uczuć i charakterów. Widzieliśmy w Tobie zdolność myślenia zawsze kategorjami Jutra, kategorjami przyszłości, widzieliśmy wielki pęd twórczy, który nie pozwalał Ci nigdy na zamykanie się w poczuciu wartości już dokonanego dzieła, w poczuciu prawa do zasłużonego odpoczynku, lecz pchał Cię niepowstrzymanie naprzód, do nowych zadań, nowych prac i nowych obowiązków. Widzieliśmy w Tobie tę WIELKĄ BEZINTERESOWNOŚĆ w służbie dla sprawy, która jest więcej, niżeli tylko bezinteresownością uczciwego człowieka, która jest wynikiem poczucia, że prawa moralne dla ludzi dźwigających zwiększoną odpowiedzialność są szczególnie ostre i surowe, że KODEKS HONORU jest bezwzględniejszy i surowszy, niżeli jakiekolwiek inne normy postępowania indywidualnego i społecznego.

ŻEGNAJ, GUSTAWIE! — Losem ŻOŁNIERZA I BOJOWNIKA przedwcześnie odchodzisz z szeregów Polski walczącej. Odchodzisz w pełni sił twórczych, od warsztatów prac w połowie wykonanych. Lecz pozostaje po Tobie nietylko żal bliskich, żal Polski, żal przyjaciół. Pozostają dzieła Twojego życia, dzieła o wartości trwałej, nieprzemijającej, dziejowej. I pozostaje po Tobie jeszcze coś więcej: pozostaje imię, które przez wieki trwać będzie, IMIĘ — SYMBOL CNOTY RYCERSKIEJ, symbol dobrze wykonanej pracy DLA POLSKI.

*) Przemówienie, wygłoszone w czasie uroczystości pogrzebowych na Oksywiu w dniu 21 lipca 1936 r.

Depesza Pana Prezydenta R. P. do Pani gen. Dreszerowej

„Przesyłam Pani moje wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia. Polska traci w osobie generała rycerza bez trwogi i skazy, jednego z pierwszych i najdzielniejszych swoich żołnierzy walk o niepodległość, walk o wykucie granic i potęgi Rzeczypospolitej.

(—) I. MOŚCICKI

Pismo Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych do Matki gen. Dreszera

Wielce Szanowna Pani!

Jestem tak wstrząśnięty wiadomością o tragicznym zgonie ś. p. Syna Pani Gustawa, że wszelkie słowa współczucia wydają mi się zbyt nikłemi i małemi, by móc je Pani przesłać; wczoraj rozmawiałem z Nim, trudno mi uwierzyć, że dziś już nie żyje.

W piersi Pani zamiera z bólu serce matczyne, proszę mi wierzyć, że tak samo pełne bólu są żołnierskie serca naszej armji, która straciła Wielkiego Żołnierza i Generała. Nazwisko Jego pozostanie nazawsze w historji, nierozłącznie zespolone w tejże, mitem i sławą armji z wielkością epoki zdobywania Niepodległości Polski.

Proszę o przyjęcie wyrazów wysokiej czci.

(—) ŚMIGŁY RYDZ
generał dywizji.

Stefan Szwedowski

Młodość Gustawa Dreszera

Zniknęła z tego świata jedna z najbardziej świetlanych postaci Polski współczesnej.

Gen. Dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer, żołnierz niepodległości, żołnierz Komendanta, pionier pracy Polski na morzu i jej praw do kolonij, Inspektor Armji, Inspektor Obrony Powietrznej Państwa, rycerz bez skazy i bez lęku — nie żyje.

Trudno opanować natłok słów, cisnących się na pióro, słów chwały zasłużonej, żalu niepomiernego, miłości wielkiej, które zawsze jednak kłamać będą sercu w nieudolnej chęci sprostania zadaniu pośmiertnego wspomnienia.

Zginął potrójną śmiercią: żołnierza, marynarza i lotnika.

Zniknął nam z oczu, wyrwany z grona przyjaciół, prosto od warsztatu pracy, w mundurze żołnierskim, w polskiem morzu, w którem widział potęgę Rzplitej, na Jej ptaku, który z połamanemi skrzydłami wpadł w nurty Bałtyku, tworząc śmiercią Wielkiego Polaka jeszcze jeden z tysięcznych nierozerwalnych węzłów Polski z morzem.

Kochał, pracował, walczył dla Polski na lądzie, w powietrzu i na morzu. Walczył całe życie o wielkość imienia Ojczyzny, o Jej dobro, potęgę, chwałę, o Jej udział w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości.

Zginął na posterunku, tak jak chciał, śmiercią piękną i rycerską, dostosowaną do swego charakteru: nieustraszonego w walce, wiernego w miłości wszystkiemu co jej warte, szalonego w odwadze, duszącego się w małości, śniącego i realizującego sny o potędze.

Walczył o Polskę na lądzie, w powietrzu i morzu, walczył w sercach ludzkich, bohaterskich zmaganiach na polu walki, w zaparciu się siebie w dniu codziennym, walczył od lat pacholęcych do zgonu, walczył i pracował każdej godziny, każdej minuty, zasilany nieprzebranym ogromem umiłowania Polski i Jej wielkości.

Walczył orężem żołnierskim w mężnej dłoni, piorunem rozkazu wodza, pracą kierownika nawy społecznej, piórem nauczyciela, płomiennem słowem trybuna.

Nic, co coś znaczyło dla Polski, nie było Mu obce, wszystko to kochał, o wszystko walczył. Nienawidził tylko małości i ludzi bezdusznych, nienawidził pustki ideowej, szukał i znajdował w pracy utajone siły Polski. Był czysty, jak kryształ. Żył i zginął w kanonie: „Honor i Ojczyzna".

Zanim hasło to stało się zawołaniem odrodzonego żołnierza polskiego, było ono Jego dewizą wychowawczą od lat najmłodszych, od lat uczniowskich, gdy w Organizacji Młodzieży Narodowej i jej wewnętrznej trójzaborowej konspiracji „Zecie", zaprzysięgał na dobro Narodu, jako najwyższe kryterjum postępowania, na walkę o niepodległość Polski, na bezinteresowną służbę dla Niej. Każde pokolenie tej organizacji wnosiło na swych niezmiennych fundamentach nowy gmach myśli, dostosowany do potrzeb okresu. Okres, w którym rozpoczął pracę Gustaw Dreszer, był okresem myśli i czynu na rzecz akcji bezpośredniej — zbrojnej walki o niepodległość. Był jej wyznawcą, pionierem i fanatykiem. W pionierstwie tem nie znał kompromisów. Nie dał się ani ugiąć, ani wyłamać, był monolitem wykutym z jednej bryły.

Różnemi szlakami młodzież ówczesna dochodziła do samowiedzy niepodległościowej, do problemu walki czynnej. Gustaw Dreszer nie doszedł do tego przez zawiłe przesłanki filozoficzne, czy społeczne. Niepodległość polityczna była dla Niego naturalnem prawem Narodu, prawem, które motywacji nie potrzebuje, jak prawo ludzkie do powietrza, słońca, pracy, chleba i wolności. Porywał i zapalał młodzież. Któż z nas, Jego najbliższych przyjaciół - wychowanków, nie pamięta tych chwil, gdy — przyjmowany do organizacji — pobladłemi ustami szeptał słowa przysięgi na całe życie, gdy otrzymywał symboliczny braterski uścisk Jego dłoni, od którego szła potęga woli, jakiej tak mało było w Polsce ówczesnej. Ucząc nas — dowodził możliwości naszych usiłowań zbrojnych, stwierdzał „tak być musi". Pożerał Go wewnętrzny, a jakże trwały ogień czynu. W perspektywie lat srebrzyły się potem Jego włosy, nie gasł nigdy Jego płomienny wzrok, nie traciło nic na mocy sugestywne słowo, którem od czasów częstochowskiego gimnazjum ludzi powoływał do czynu. Rozsyłał wici do walki o najwyższą sprawę, sprawę wolności dla Polski. Nie dziw, że potem z każdego miasta, gdy wchodził doń już jako bohater legjonowy, szła z nim w pole rzesza chłopaków, oderwana od ław szkolnych, oblewanych łzami matek, tak wcześnie błogosławiących synów na świętą wojnę o wyzwolenie.

Związków serdecznych ze swoimi przyjaciółmi organizacyjnymi nie stracił nigdy. Był wierny w pracy, w walce i przyjaźni. Im bliżej jednak ciągnęło Go do kogoś serce, był dla niego bezwzględniejszy, więcej wymagał, więcej żądał, pamiętny przysięgi na bezinteresowność i czystość w służbie publicznej.

Żołnierzem był zanim mundur okrył Jego piersi. Był już nim wtedy, gdy zaprzysięgał kilkunastoletnich chłopców w konspiracji, był żołnierzem, gdy czynnie walczył z najazdem mowy obcej do szkoły, był żołnierzem polskim, kiedy mundur oficera rosyjskiego skrywał ryngraf polskiego rycerza. Życie Jego to jeden epos pod względem treści i formy. Różnemi szlakami z emigracji, z za morza, z więzień, z rodzicielskich domów, biegła młodzież do walki wyzwoleńczej Pierwszej Brygady. Gustaw Dreszer do walki tej stanął w pełnem pogotowiu zbrojnem. Przy pierwszych strzałach wielkiej wojny, w rosyjskim mundurze, pod strzałami stron obu, przedarł się przez front i konno zameldował się Komendantowi. Stosunek Jego do Komendanta, to wzór, to wizerunek wiernej miłości żołnierza do wodza od pierwszego meldunku do ostatniej defilady. Od tego pierwszego zameldowania w pamiętnych dniach sierpniowych 1914 roku, poprzez całą epopeę legjonową, zmagania bojowe Pierwszej Brygady, szarże pod Trojanówką, obozy internowanych w Verlu i Haverbergu, rozbrajanie okupantów, wojnę polsko-rosyjską, przez pamiętny rok 1926, w którym był wykonawczem ramieniem Komendanta, życie Jego upłynęło w walce o Ojczyznę, o Jej powiększanie i w wiernej miłości dla Wodza.

Stanąwszy u szczytów dostojeństw, mając powierzoną sobie inspekcję sił zbrojnych, nie zdołał wszystkich swoich olbrzymich możliwości moralnych i fizycznych umiejscowić w Armji. Był społecznikiem o dużej wnikliwości metod społecznego postępowania.

Współorganizator armji lądowej, kawalerzysta z serca i temperamentu, ostatnie lata pracy, równie młodzieńczej, jak za czasów lat pacholęcych, poświęcił polskim aspiracjom morskim w dziedzinie stworzenia sił zbrojnych na morzu i w dziedzinie praw polskich do kolonij. W ostatnich dniach życia powierzono Mu obronę powietrzną. Zapytywano Go, czy wobec ogromu zagadnień nie wycofa się choćby z jednej dziedziny. Olbrzymie Jego siły kazały Mu jednak ogarniać swojemi możliwościami wszystkie umiłowane warsztaty. Ogarnął nieprzebraną miłością swoją i energją polski ląd, polskie morze, polskie powietrze.

Należał do rzędu tych nielicznych ludzi, którzy im więcej dają, więcej mają do dania, w sercu swojem znajdował miejsce na zajęcie się zagadnieniem Polonji zagranicznej. Rozwoził dobrą nowinę polską nietylko po kraju, lecz i po obu stronach półkuli ziemskiej.

Dlatego też nietylko śmierć Jego kryje żałobą społeczeństwo polskie Rzeczypospolitej, ale cały Naród Polski rozsiany po świecie, gdziekolwiek bije serce polskie, gdziekolwiek myśl polska biegnie do Ojczyzny, gdziekolwiek dźwięczy słowo w rozsłonecznionej naszej mowie.

Edward Arnekker

Chałupnictwo w Belgji

Belgja należy do krajów, w których chałupnictwo jest bardzo rozpowszechnione, to też problemy chałupnicze znajdują tutaj bardzo żywe zainteresowanie: wystarczy przypomnieć, że w Belgji właśnie dokonano wielkiego opracowania naukowego różnych gałęzi chałupnictwa i dane wydano w druku w 10 wielkich tomach, już w roku 1908.

Ostatnio uregulowano sprawę chałupnictwa drogą wydania prawa z 10 lutego 1934 roku, które w szczegółach zajmuje się płacami i higjeną w chałupnictwie. Przedewszystkiem więc określono kogo należy uważać za chałupnika, a więc kto ma prawo do opieki wynikającej z prawa chałupniczego. Otóż za chałupników w tem znaczeniu uważa się tych, którzy pracują dla przedsiębiorców - nakładców albo w swojem mieszkaniu albo w innym lokalu nienależącym do przedsiębiorcy i zatrudniają nie więcej jak 4 siły pomocnicze. Pomocnicy korzystają narówni z zatrudniającym ich z opieki wynikającej z ustawy. Jak widać z powyższego ustawodawstwo belgijskie poszło znacznie dalej w określeniu chałupnictwa aniżeli ostatnie zarządzenia naszego ministerstwa przemysłu i handlu, które na żądanie izb rzemieślniczych, uznaje za chałupników wyłącznie tych, którzy pracują bez pomocniczych sił obcych.

Co się tyczy najważniejszych spraw, a przedewszystkiem płac, to dla regulowania tych spraw powołuje się w Belgji Komisję Główną do Spraw Chałupnictwa (Comite National pour le travail a domicile), która składa się z 7 członków w czem 3 przedstawicieli pracodawców, 3 przedstawicieli pracowników oraz jednego przedstawiciela, który reprezentuje w Komisji znajomość stosunków i wiedzy społecznej i gospodarczej. Król mianuje członków Komisji z przedstawianych mu list kandydatów, przyczem prezesem komisji jest ów niezainteresowany 7-my członek komisji. Komisja może kooptować członków. Siedziba jej znajduje się w Brukseli w lokalu udzielonym przez rząd.

Komitet wkracza na prośbę jednej lub drugiej strony w sprawach płac. Może on powoływać ekspertów. Najpierw dąży on do pogodzenia stron, jeżeli zaś to nie wydaje skutku — wydaje orzeczenie w sprawie wysokości płacy. Komitet może także ustalać minimalne stawki płac. Za podstawę minimów płac służą stawki pobierane w zakładach fabrycznych przez robotników zatrudnionych przy wyrobie tych samych artykułów i pracujących w ten sam sposób lub też w sposób analogiczny. Komisja dokonuje przytem kalkulacji stawek od sztuki danego towaru, wychodząc ze stawek płaconych od czasu pracy, (za godzinę pracy); o ile to staje się niemożliwe — Komisja bierze za podstawę stawki płacone w danym okręgu innym kategorjom chałupników. Wszelkie ustalone minimum płacy odnosi się tylko do danego okręgu, przyczem stawki nie stosują się do tych, którzy nie są zdolni dla różnych względów pracować z normalnem natężeniem (chorzy, starcy i t. p.) oraz w stosunku do praktykantów względem których stosuje się stawki specjalne.

Po ustaleniu przez Komisję minimalnej stawki płacy zostaje ona zakomunikowana Ministerstwu Przemysłu, Rzemiosła i Opieki i stawki te zostają ogłoszone z podpisem królewskim. O ile król nie godzi się na wydanie odpowiedniego zarządzenia — winien dać odpowiednie uzasadnienie. Zarządzenia w sprawie stawek płac ogłoszone zostają w dzienniku urzędowym i od daty ogłoszenia wiążą tak nakładców jak i chałupników. Zasadniczo takie „L'arreté de sanction" lub też zgoda obu stron zostają zarejestrowane przez Komisję i posiadają siłę wiążącą na okres 3-letni; po tym czasie, o ile niema sprzeciwów, mogą być one odnowione. Ale i przed tym terminem król ma prawo wycofać swe zarządzenie o ile zmiana warunków czy inne okoliczności uczyniły je nieżyciowem. Zarządzenia w sprawie stawek płac minimalnych wchodzą w życie w 10 dni po ogłoszeniu w Monitorze, przyczem tekst winien zostać wywieszony w miejscach dostępnych dla chałupników.

Aby zrealizować zarządzenie w sprawie płac minimalnych — specjalni inspektorzy rządowi kontrolują ich wykonywanie, badają umowy zbiorowe i książeczki płac chałupników. Mają oni w tym celu zarezerwowane prawo wstępu do miejsc, w których chałupnicy oddają wykonaną robotę. O ile zetkną się z nadużyciem i niewykonywaniem zarządzenia w sprawie stawek minimalnych — występują z oskarżeniem, przyczem oskarżony winien otrzymać kopję oskarżenia w ciągu 48 godzin pod rygorem jego nieważności. Nakładcy, o ile zostanie dowiedzione, że nie płacili stawek minimalnych, zostają skazani na karę pieniężną — od 26 do 200 franków; w wypadku recydywy karę się podwaja, przyczem nakładcy są odpowiedzialni za ich zapłacenie.

Komitet do spraw chałupnictwa nie ogranicza jednak swej działalności wyłącznie do sprawy płac. Bada on więc w szczególności warunki zdrowotne i hygjenę pracy w warsztatach chałupniczych, przyczem wnioski swe przedkłada Ministrowi Przemysłu, Rzemiosła i Opieki; stanowią one przedmiot badań zarówno Najwyższej Rady Pracy przy ministerstwie, jak i Najwyższej Rady Higjeny Publicznej.

Jednakże ustawa o chałupnictwie nie stanowi wyłącznie o opiece, która zostaje roztoczona nad chałupnikami, ponieważ bardzo ważnem ogniwem w tym całokształcie stanowi także opieka na wypadek bezrobocia. — Zarządzenie królewskie z 11.IX.1933 roku organizuje kontrolę nad bezrobociem w chałupnictwie. Otóż na podstawie tego zarządzenia zostaje zorganizowana kontrola nad realizacją ubezpieczenia od bezrobocia chałupników. Chałupnicy mogą więc należeć do kas ubezpieczenia od bezrobocia, ale pod ściśle określonemi warunkami. A więc ma do tego prawo tylko ten chałupnik, który nie zatrudnia poza członkami rodziny osób obcych; przepis więc ten różnicuje opiekę nad chałupnictwem i korzystanie z różnych rodzajów ubezpieczenia, uzależniając to od różnych kategoryj chałupników i różnych potrzeb życia. Być może, że dla stosunków belgijskich istnieje tak podstawowa różnica między tymi, którzy zatrudniają obce siły a tymi, którzy ich nie zatrudniają. Dla stosunków polskich to kryterjum nie zawsze daje właściwe zastosowanie i odbija się przedewszystkiem na zatrudnianych siłach obcych.

Chałupnik, stając się członkiem kasy ubezpieczenia od bezrobocia, obowiązany jest spełniać cały szereg warunków, których niewykonywanie grozi mu wykluczeniem na stałe z członkostwa kasy. A więc nie może on należeć do kasy, o ile nie zobowiąże się piśmiennie, iż będzie pracował wyłącznie dla przedsiębiorców. O ile nastąpi jakaś zmiana w wykazie przedsiębiorców, dla których pracuje — obowiązany jest on w 48 godzin zawiadomić o tem fundusz bezrobocia. Zabronione jest mu wykonywać na własne czy swych bliskich potrzeby artykułów, które normalnie stanowią o jego zarobkowaniu. Nie mogąc zatrudniać obcych sił, zobowiązuje się także nie brać pracy od nakładcy, o ile tenże nie wyda mu książki pracy. Ci, którzy przed wydaniem powyższego zarządzenia już są członkami kas ubezpieczenia od bezrobocia — winni o tem zawiadomić swego nakładcę najpóźniej w 40 dni listem poleconym.

Ci z pośród chałupników, którzy utracą pracę i pobierają zasiłki — winni wpuścić do warsztatu każdej chwili inspektora, okazać mu książkę płacy, rodzaj wyrabianego towaru i t. p.

Ubezpieczenie od bezrobocia przedstawia duże trudności realizacyjne, szczególnie wielkie na terenie chałupnictwa; mimo to nie cofnięto się w Belgji od jego realizacji. Jeśli chodzi o stosunki polskie, to mamy niewątpliwie takie same natężenie bezrobocia w chałupnictwie, jak i w Belgji, jednakże chałupnicy nie korzystają u nas z dobrodziejstw tego ubezpieczenia, jak zresztą wogóle przeważnie nie są ubezpieczani nawet w kasach chorych.

Artykuł dyskusyjny

Adam Uziembło

Konieczna zmiana

W czasie dyskusji sejmowej padło kilka gorzkich uwag pod adresem Funduszu Pracy. I z kraju coraz przychodzą wieści o strajkach na finansowanych przezeń robotach. Tłumaczyć chyba to należy tem, że rzeczywistość coraz mocniej rozpiera sztywne ramy tej instytucji. W tych warunkach warto przyjrzeć się jej podstawom i metodom działalności, warto zestawić założenia i plany z osiągniętemi skutkami.

Z powstaniem Funduszu Pracy wiązano bardzo daleko idące nadzieje. Miał on uruchomić znaczne środki w postaci zaległych podatków, pobrać naturą to, co ludność nie mogła uiścić w gotówce i podnieść życie gospodarcze do ruchu, do obrotu.

Nadzieje, idące w tym kierunku, zawiodły. Żadnych poważniejszych środków uśpionych Fundusz Pracy nie uruchomił. Dochody jego w r. 1934-35 z tytułu zaległych podatków wyniosły niespełna 2,9 miljonów zł. — suma zupełnie znikoma. Znikoma też była kwota wpływów własnych z różnych źródeł (2,18 milj. zł.) Olbrzymia, przytłaczająca większość dochodów (na 111,9 — 102,8 milj.) pochodziła bądź z dotacyj Skarbu Państwa, bądź z obciążeń pracy czy spożycia i była egzekwowana przez urzędy skarbowe lub gminy. Są to bądź najzwyklejsze podwyżki podatków bezpośrednich czy pośrednich, bądź opłaty, przynoszące bardzo mało, a nieraz przytem dokuczliwe i zakłócające normalny bieg życia. Za szczególnie niepożyteczne musimy uznać dopłaty do cukru, gazu, za dokuczliwą zaś — choćby owe złotówki od konsumcji po 12-ej godz. w restauracjach, które najzwyczajniej w świecie wypłaszają z nich gości i zmniejszają obroty ze szkodą dla siły podatkowej zakładów, a przynoszą tylko coś ponad 337 tys. zł. Jeżeli dodamy do tego, że koszta inkasa tego wszystkiego wynosiły 1,1% (budżet Ministerstwa Skarbu w stounku do jego wpływów wynosi 0,8%) — to przekonamy się, że koncepcje dochodowe wysuwane przy tworzeniu Funduszu Pracy, związane z odmrażaniem i uruchamianiem specjalnych funduszów spotkało niepowodzenie.

I dodajmy odrazu: niepowodzenie to nie decyduje jeszcze o zasadniczej niemożliwości upłynnienia niektórych należności „zamrożonych", ale nie da się ono załatwić ubocznie, ściągnięcie należności w naturze nie jest bynajmniej rzeczą prostszą i łatwiejszą niż ściągnięcie ich w gotówce — jest tysiąckrotnie trudniejsze, gdyż wymaga powiązania całego szeregu nici wymiennych.

A teraz przejdźmy do właściwej akcji Funduszu Pracy, opartej na przesunięciu części świadczeń publicznych na ten odcinek. Jak wygląda wzmożenie życia gospodarczego? Zadaniem Funduszu Pracy było podnieść zatrudnienie. Pole wdzięczne. Można tu przedsięwziąć cały szereg robót o pierwszorzędnem znaczeniu dla kraju. Chodzi przecie o wywarcie nacisku na punkty węzłowe naszej gospodarki, w ten sposób, by zastrzyk środków pieniężnych pobudził możliwie największe obszary życia. Wszystko przemawia za tem, że największy nacisk trzeba w takim razie położyć na gospodarką surowcową, to jest na hamowanie odpływu środków i tak niewielkich.

Weźmy przykład: rozpowszechnienie uprawy lnu, przyśpieszenie pracy nad wyrobieniem metody jego kotonizacji pozwalało uderzyć częściowo na przeszło 100 miljonów złotych, płaconych rocznie za bawełnę krajom, z któremi mamy bilans handlowy ujemny. Zatrzymanie części takiego kapitału wzmagałoby odrazu środki na zatrudnienie. Organizacja hodowli owiec przez ulepszenie hal górskich i t. p. zatrzymać może znaczne miljony złotych za wełnę, tak samo krajom wierzycielskim płaconych. Rozwiązanie tych spraw dawało nietylko pracę conajmniej wielu dziesiątkom tysięcy ludzi, ale w sposób rozstrzygający mogło oddziałać na cały szereg innych dziedzin wytwórczości.

Otóż praca Funduszu nie skierowała się do tej dziedziny, ani żadnej pokrewnej.

Można iść inną drogą. Można organizować kadry do obowiązkowej służby pracy, by zmniejszyć podaż rąk roboczych młodzieży. Kraj nasz wymaga olbrzymich inwestycyj, których — wydaje się — dokonać trudno będzie inaczej, jak przez powszechną służbę pracy, w czasie której Rzeczpospolita zapewni odbywającym ją jedynie utrzymanie i żołd. Organizacja tego rodzaju wymaga licznych sił instruktorskich. Coś w tym rodzaju zostało zapoczątkowane przez Stowarzyszenie Opieki nad Niezatrudnioną Młodzieżą. Fundusz Pracy zrazu finansował tę akcję, finansował, ale obciążył ją nieudolnym i źle dobranym personelem. A kiedy Obozy Pracy naprawdę poczęły się rozwijać, kiedy wytknęły sobie cel, gdy się stały zawiązkiem poważniejszej akcji społecznej — przejął akcję we własne ręce, aby pozbawić ją ducha społecznego i uschematyzować w sposób zupełnie bezideowy. Więc i tu wyniki nie są pomyślne.

Fundusz Pracy w swych poczynaniach wybrał drogę efektów, drogę najmniejszego oporu, drogę sukcesów szybkich, ale i małowartościowych i nietrwałych. Cała uwaga jego została zwrócona na roboty publiczne. Jakie? Oczywiście nie inne, tylko te, które były w planie instytucyj rządowych i samorządowych, czyli te, na które te same środki mogły być obrócone bez niepotrzebnego zupełnie pośrednictwa Funduszu.

Ostatecznie wszystko sprowadzone zostało do przeciętnego zatrudnienia 60 tys. robotników, co wobec przynajmniej 900 tysięcy bezrobotnych stanowi liczbę mało znaczącą. Co gorzej, zatrudnienie to było skupione w miesiącach letnich — inicjatywa F. P. nie tknęła okresu najgorszego i najcięższego — zimowego. Jeszcze gorzej — rozdział robót był pozbawiony planu społecznego.

Fundusz Pracy postanowił zatrudnić jak największą ilość rąk roboczych. Poszedł zatem po linji najmniejszego oporu. Obniżyć prace robotnicze! Człowiek, który nic nie ma, weźmie każdą robotę, byle jadł. Stanowisko to nie jest usprawiedliwione. Mniejsza ilość ludzi zatrudnionych, ale płatnych jako tako różniczkuje spożycie. Kupują oni nietylko chleb i słoninę, ale bodaj drelichową kurtę, by nie niszczyć ubrania. W ten sposób taki robotnik daje zatrudnienie innym, pracującym w przemyśle. Pieniądz jemu dany odbywa dłuższą drogę, niż ten, który idzie tylko na chleb i słoninę, wędrując z błyskawiczną szybkością do rolnika i wracający stamtąd do kasy skarbowej. Fundusz Pracy dla uzyskania ilościowego efektu, pominął moment gospodarczy i społeczny i wolał zatrudnionych na swoich robotach zatrzymać w stanie nędzy.

A osiągnięte to zostało nie tylko drogą niskich nadwyraz płac. By podnieść ilość zatrudnionych pozwolono pracować każdemu tylko przez pewną ilość dni w tygodniu. W Warszawie pracuje każdy po dni cztery. Robotnik więc dostaje na rękę 13 złotych tygodniowo, czyli 52 zł. miesięcznie. Dostaje po całozimowem głodowaniu, wyniszczony z ubrania, bielizny. A zważyć trzeba, że po otrzymaniu pracy traci on prawo do zalegania z komornem i musi nieraz wszystko, co zarobi, oddać kamienicznikowi. „Jaka płaca, taka praca" — ludzie na robotach publicznych w Warszawie pracują licho, bo są osłabieni z głodu.

I zaiste trudno się dziwić, że podczas gdy syty czytelnik gazet doznaje pewnej przyjemności, dowiadując się o zatrudnieniu nowych dziesięciu czy dwudziestu tysięcy—pośród tych zatrudnionych wzbiera poczucie krzywdy i nienawiści, rodzi się protest i znajduje wyładowanie w strajku, w rozruchach. Gdynia, Toruń, Krasnystaw...

I pocóż tu szukać większych wyników, „agitatorów", wichrzycieli i innych kandydatów do obozu odosobnienia? Warunki dla tych ludzi zostały stworzone tego rodzaju, że każdy z nich staje się „wywrotowcem", a każdemu pragnącemu przeciwdziałać ogólnemu wzburzeniu — stanie do oczu krzywda.

Kiedy przeglądamy listę kredytobiorców Funduszu Pracy, spostrzegamy, że i pod tym względem została obrana linja również najmniejszego oporu. 38,5% pieniędzy F. P. dostały poszczególne resorty władzy państwowej. A więc pieniądze dane przez Państwo — do Państwa wróciły. Osiągnęliśmy przez to jedno: oto nad planami zatwierdzonemi przez Ministerstwo Komunikacji musiał jeszcze deliberować Fundusz Pracy, aby sprawdzić ich celowość i rentowność. Meljoracją oprócz Ministerstwa Rolnictwa zajmował się jeszcze jeden urząd pośredniczący.

Samorząd dostał 49,8%. I znów pytanie — czyż naprawdę Fundusz Pracy był lepiej poinformowany o jego potrzebach gospodarczych i społecznych, niż bezpośrednia władza nadzorcza? Czy nie było to stworzeniem jeszcze jednej instancji, wędrówki po biurach, która tylko opóźniała rozdział kredytów? Czy naprawdę usprawnienie rozdziału stosunkowo nieznacznych sum wymagało działalności specjalnego aparatu? Ale w takim razie, czy nie byłoby stokroć słuszniejszą rzeczą zachować, względnie wznowić Ministerstwo Robót Publicznych? To by poręczało stanowczo bardziej celowość prowadzonych robót, ich ciągłość i racjonalność gospodarczą.

Fundusz sam nie zainicjował właściwie nic. Prawda, przeprowadzał on pewne przesunięcia w rozdziale kredytów—jakoby ze względu na nasilenie bezrobocia w tej czy innej części kraju. Ale przedewszystkiem nie mogło to mieć większego znaczenia wobec nikłego zupełnie udziału w dziele zwalczania bezrobocia wogóle — a następnie.... czy przesunięcia tego rodzaju były naprawdę usprawiedliwione konsekwencją gospodarczą? Oto pytanie, na które nie możemy udzielić odpowiedzi twierdzącej, spoglądając, dajmy na to, na osławiony wiadukt na Żoliborz, gdzie niedokończone roboty stanęły z powodu zatrzymania kredytów. Stanęły i oczywiście marnieją. (Są niby to zabezpieczone). Czy to nie przypomina innych wycinków naszej gospodarki, kiedy wkłada się pieniądze w coś, co ma być urzeczywistnione dopiero po wielu latach? Czy to ma być przykład robót o wybitnej rentowności?

Fundusz Pracy nie wniósł więc do robót publicznych momentu celowości, ich słusznej gospodarczej oceny. Pozostaliśmy i tu nieraz na poziomie przedsięwzięć w rodzaju budynków Chełmskiej dyrekcji kolejowej, które pod dachem czekały na ostateczne wykończenie, choć wystarczyłoby na to mniej, niż można było w każdej chwili jeszcze podnieść w Banku Polskim, gdzie kredyt bezprocentowy został przecież całkiem wyczerpany.

Metoda organizacyjna tych robót była również na poziomie niskim. Przedsiębiorca-pośrednik jedynie mógł na nich wyjść jako tako. Inicjatywy w kierunku zorganizowania pracy na zasadach spółdzielczych zabrakło, jakby nie było przykładów we Francji, w Italji, jakby nie było wzorów w prymitywnej „artieli", która wdarła się do Warszawy z dalekich kresów i okazywała wszystkim, co tworzyć może zgodny zespół. Nie chcemy twierdzić, by już zupełnie nie znalazły poparcia próby tworzenia spółdzielczości pracy. Owszem, tu i ówdzie poparcie się takie znalazło — były to jednaki drobiazgi, które nikły w całości szarej, „zgleichschaltowanej", nieciekawej i gruntownie nietwórczej pracy.

Pod względem zatrudnienia więc bezrobotnych nie posunął nas Fundusz Pracy wiele naprzód. Nie ujął sprawy ani ze stanowiska gospodarczego, ani społecznego, ani też technicznego. Każda z tych spraw wymagała osobnego przemyślenia — każda musiała być dokładnie rozważona, każda wymagała gruntownych studjów i każda też była nieraz rozważana w poszczególnych resortach, w samorządach, w ich władzach nadzorczych. Fundusz Pracy te wszystkie rozważania przekreślił i jak każdy nowicjusz rozpoczął rzecz od nowa. Nie pomyślano tam, że bez odpowiednich studjów zawsze niemal popada się w błędy nie raz i nie dwa powtarzane gdzie indziej, a te błędy płaciliśmy nieraz. Chętnie byśmy to odżałowali, byle tego samego rodzaju błędów nie powtarzać.

Nowicjuszostwo w Funduszu Pracy odbiło się i na tem, że za wszelką cenę pragnął rozszerzyć swoje kompetencje. Podjął się więc nietylko zatrudnienia, ale i opieki nad niezatrudnionymi, choć z góry można było powiedzieć, że są to rzeczy zupełnie różne, wymagające różnych kwalifikacyj i różnych zdolności.

Opieka społeczna, jakkolwiek nie stanęła w Polsce zbyt wysoko, przecież wyrobiła już szereg specjalistów, znawców poszczególnych zagadnień. Posiadamy ludzi z wyższem wykształceniem specjalnem dla służby społecznej, ludzi i w samorządach i we władzach centralnych. Bezrobocie postawiło organy wykonawcze wobec niepomiernie zwiększonych potrzeb. Zdawałoby się, że nieodzowną jest rzeczą w tych warunkach skoncentrować wysiłki, doprowadzić do zjednoczenia tego wszystkiego, co czynią instytucje społeczne, samorządy, administracja. — Fundusz Pracy zdecydował ująć sprawę w swoje ręce i... przedewszystkiem uprościć i zmechanizować robotę.

Kiedyś przyjdzie czas na szczegółową ocenę tej działalności. Dziś, w ramach krótkiego artykułu nie sposób wyczerpać tematu. Wystarczy powiedzieć, że standaryzacja świadczeń doprowadza tylko do handlu i sprzedawania ich przez tych, dla kogo właśnie ten rodzaj świadczeń jest nieprzydatny. Podział pomiędzy instytucje nie okręgów terytorjalnych, ale zagadnień (pomoc dziecku, pomoc bezrobotnemu, pomoc ubogiemu) doprowadziła do rozbijania rodzin, których każdy członek skądinąd otrzymywał jadło, paczki, albo inne wsparcia. Rozdział pomiędzy opieką materjalną i moralną sprawił, że instytucja opiekuńcza, żywiąca, nie mogła oddziaływać uspakajająco na swych klientów, instytucja zaś kulturalna nie miała nad niemi żadnej egzekutywy. „Uproszczenia" w ten sposób odebrały całe wychowawcze znaczenie opieki, doprowadziły do tego, że opinja „najgorsze to te komitety" utrwaliła się wśród szerokich mas. Każdy punkt rozdzielczy stał się terenem antypaństwowej agitacji.

Fundusz Pracy miał wprowadzić moment uspokojenia do nastrojów szerokich mas ludności, udowodnić, że Rzeczpospolita o nich myśli, coś dla ich dobra przedsiębierze. I — tego zadania nie spełnił. Zbyt ciężkie są warunki pracy tam, gdzie figuruje zielono-żółta reklama dla instytucji finansującej. Zbyt formalistyczny jest tam system przyjmowania do pracy, zbyt po aptekarsku wymierzona jest i sama praca i wynagrodzenie za nią. Człowiek, który gotów jest za normalne wynagrodzenie pracować dobrze i uczciwie, musi to, co mu dają, traktować jako wyzysk, a cały nastrój niskich płac — to dla niego fragment ogólnej tendencji do obniżania zarobków, fragment tem boleśniejszy, tem więcej beznadziejności wprowadzający, że uprawiany pod autorytetem Państwa. Zbyt ciężko wydostawać pomoc żywnościową, by można było odczuć wdzięczność za nią. Nawet o wiele lepiej zorganizowane instytucje (a takich jest w Polsce większość nawet wśród gorszych) doskonale wiedzą, że na wdzięczność człowieka, który pozbawiony jest środków utrzymania nie z własnej winy, nie może liczyć ten, kto daje mu wsparcie dla podtrzymywania wegetacji jedynie wystarczające. To też jest Fundusz Pracy dziś instytucją zgoła niepopularną. I nie pomogą na to ani tabliczki reklamowe, ani zdjęcia w dziennikach i tygodnikach, ani dodatki wyświetlane po kinach. I nie ulega wątpliwości, że likwidacja tej instytucji nigdzie nie wzbudziłaby wielkiego żalu — tembardziej, że dziś już znaczna większość robót publicznych odbywa się po za nią. Tu i ówdzie uradowałaby ona wielu, bo oszczędność na jej kosztach administracyjnych pozwoliłaby porzucić niektóre obciążenia. Fundusz Pracy postępuje niesłusznie, ukrywając te koszta w różnych pozycjach, aż nazbyt przejrzystych i okazując zaledwie ich część dziesiątą.

Ze swojej strony nie bylibyśmy bynajmniej zwolennikami niszczenia raz powołanej do życia instytucji. Trzeba jej tylko wytknąć właściwą drogę i zakreślić właściwe cele. Trzeba z niej uczynić aparat nie zatrudniający bezpośrednio, ale organizujący zatrudnienie. Ale do tego trzeba przedewszystkiem inżynierów społecznych.

Wassan-Girej Dżabagi

Ruch panarabski

Jesteśmy świadkami budzących się gwałtownie po Wojnie Światowej nacjonalizmów wschodnich. Turcja, Persja, Afganistan, Indje Brytyjskie, Indje Holenderskie, kraje muzułmańskie Rosji (Kaukaz, Turkiestan, Idel-Urał), wszystkie te kraje wyzwalają się, albo dążą do uniezależnienia się od panowania i wpływów obcych narodów, ugruntowują swą niepodległość na zasadzie skrajnego nacjonalizmu, odrębności rasowej, na swych tradycjach narodowych. Sprawy i kwestje religijne, które dotychczas ciążyły na ich umysłach, odchodzą na plan drugi. Naczelnem hasłem staje się przyswojenie sobie zdobycz kulturalnych Zachodu, aby, opierając się na zasadach Wielkiej Rewolucji francuskiej, budować swą przyszłość, wejść na stopie równości politycznej, cywilizacyjnej i gospodarczej, do rodziny narodów współczesnych. Narody te nie żywią nienawiści do cywilizacji zachodniej, więcej, pragną przyswoić ją sobie, lecz nie chcą panowania nad sobą mocarstw europejskich. Ruch ten jest nietylko narodowo-polityczny, lecz i postępowy. Nie zostało już śladu idei panislamistycznych, sztucznie pielęgnowanych przez sułtana Abdul Hamida w Imperjum Otomańskiem i w całym świecie muzułmańskim.

Wśród tylu obudzonych nacjonalizmów ludów islamskich najbardziej fascynujący charakter posiada niewątpliwie ruch panarabski. Przedewszystkiem jest on obecnie zagadnieniem wysoce aktualnem, a po drugie, ogarnia on powoli, lecz nieuchronnie wszystkie szczepy i kraje Azji i Afryki, mówiące językiem arabskim, językiem Koranu i proroka Muhammada, posiadające wspólną religję, wspólną historję, wspólną kulturę już od przeszło 1300 lat. Nawet pod względem geograficznym kraje arabskie, lub ludów zarabizowanych, stanowią jedność. Od Iraku, — po przez właściwą Arabję, Egipt, Libję, Algerję, Tunis, aż do Marokka, od zatoki Perskiej i morza Czerwonego Arabowie zajmują cały wschodni basen morza Śródziemnego i południowe wybrzeża tegoż morza aż do oceanu Atlantyckiego. Ogólna liczba Arabów na olbrzymiej tej przestrzeni wynosi około 60 miljonów.

Ponieważ język, prasa, kultura arabska wykra-

cza daleko poza te granice i obejmuje wszystkie niemal narody, wyznające Islam, — łatwo przeto zrozumieć jak wielki wpływ może odegrać w świecie cały ruch panarabski.

Jednak należy odrazu zaznaczyć, że ruch ten ujawnia się obecnie nie wszędzie z jednakową siłą i mocą. Niektóre kraje arabskie dopiero ostatnio zaczynają przyłączać się do niego. Najmocniej narazie ruch ten rozwinął się we właściwej Arabji oraz w krajach z nią sąsiadujących — w Egipcie, Syrji, Iraku, to znaczy w krajach, które dawniej należały faktycznie czy formalnie do Imperjum Otomańskiego, a po wielkiej wojnie albo otrzymały odrazu swą niepodległość, albo dostały się pod mandaty francuski i brytyjski. Korzystają już z niepodległości Hedżas (św. ziemia Islamu) wraz z sułtanatem Nedżdem (oba te kraje są połączone w jedno państwo pod nazwą Saudji, od dynastji obecnie tam panującej — Saudów), Jemen, Irak, Egipt. Na drodze do uniezależnienia się znajduje się Syrja. Walczy o zniesienie mandatu angielskiego Palestyna. Wszystkie te kraje dążą swoją drogą do zjednoczenia się. Istnieje pozatem szereg pomniejszych państw i krajów na półwyspie Arabskim, znajdujących się pod mandatem (Transjordanja) lub protektoratem brytyjskim (Oman, Aden, Hadramot, Katar, Bahrein, Koweit).

Ruch wszecharabski został zapoczątkowany już w końcu ub. stulecia, gdy w 1895 r. powstał w Paryżu „Narodowy Komitet Arabski", mający na celu uwolnienie z pod władzy tureckiej wszystkich ziem arabskich. Po 10 latach ożywionej propagandy Komitetowi temu udało się spowodować w 1905 r. powstanie w prowincjach Hedżas i Jemen. Powstanie zostało jednak dość prędko zlikwidowane. Niemniej jednak przyczyniło się ono w pewnym stopniu do wywołania trudności wewnętrznych w Imperjum Otomańskiem i do wybuchu w 1908 r. rewolucji młodotureckiej oraz do klęski Turcji w wojnie turecko-włoskiej w Trypolitanji (1910 — 1911) i turecko-bałkańskiej (1912 r.).

Cele, do jakich dążyli patrjoci arabscy, zostały wyłuszczone w 1906 r. w manifeście Narodowego Komitetu Arabskiego, w którym zaznaczono między innemi, że przyszłe państwo arabskie należy rozumieć „w jego granicach naturalnych — od doliny Tygrysu i Eufratu do przesmyka Suezskiego, i od morza Śródziemnego do morza Omańskiego". W manifeście przewidywało się również że kalifat ma powrócić od Osmanów do Arabów.

Wojna Światowa dostarczyła Arabom, pobudzanym przez Aljantów, a w szczególności przez Anglję (działalność słynnego płk. Lawrence'a), doskonałej sposobności do nowego otwartego buntu przeciwko Turkom. Inicjatywa powstania przypadła wielkiemu szeryfowi Mekki, Husseinowi-ibn-Aliemu, potomkowi proroka Muhammada. Hussein wraz ze swymi synami — Fejsałem, Abdullahem i Alim—usiłował wyzyskać sytuację i połączyć wszystkie ziemie arabskie w jedno wielkie imperjum pod władzą swej własnej rodziny (Haszemitów). W czerwcu 1915 r. szeryf zaproponował rządowi brytyjskiemu współdziałanie militarne i zażądał wzamian niepodległości Arabów na terytorjum, którego północną granicą byłaby Mersyna i Adan oraz linja, biegnąca wzdłuż 37 stopnia szerokości geograficznej, aż do granicy perskiej. Granicą wschodnią powinna była zostać granica perska aż do zatoki Basory; południowa granica winna była dotykać Oceanu Indyjskiego, zopostawiając na uboczu protektorat angielski w Adenie; i wreszcie zachodnia granica miałaby się oprzeć o morze Czerwone i Śródziemne aż do Mersyny.

Rewolta arabska, dzięki zwycięstwu Aljantów, doprowadziła do powstania królestwa Hedżasu pod władzą Husseina. Hussein jednak nie zadowolił się tytułem króla Hedżasu i ogłosił się w 1916 r. „królem Arabji". Obecni podczas tej ceremonji przedstawiciel Syrji i Mezopotamji (Iraku) uznali Husseina za swego króla i za króla wszystkich Arabów.

Według planu angielskiego, synowie Husseina, Fejsał i Abdullah, zostali upatrzeni na władców Syrji i Iraku. Jednak sprzeciw Francji unicestwił te zamiary i emir Fejsał został zmuszony przez Francuzów do opuszczenia Syrji. Wtedy Anglja zapewniła tron królewski Fejsałowi w Iraku, a Abdullahowi — emirat Transjordanji.

Po zniesieniu w Turcji kalifatu Hussein ogłosił się w 1924 r. kalifem.

W tym czasie urosła w Arabji środkowej potęga nowego pretendenta na przyszłego cesarza Arabów, a mianowcie sułtana Nedżdu, Abdul - Azisa Ibn-Sauda, który potrafił już podbić szereg pomniejszych sąsiadujących z jego państwem emiratów — Szammar, Hail i t. d. Już w 1920 r. Ibn-Saud wydał do Syryjczyków proklamację, zwróconą przeciwko emirowi Fejsałowi. W odezwie tej mówiło się między innemi: „Wojna światowa zmieniła dawny porządek rzeczy i rozerwała jedność muzułmańską. Nie potrzebuję wam mówić, co zrobił emir Mekki... Gdybyż się tylko opiekował Hedżasem, ale (niech mu Bóg wybaczy) zawarł on przymierza i pogrążył kraj arabski w przepaści, ten kraj, o którym wiecie, że był kolebką Islamu i był wolny i niezależny od wieków".

Od tej chwili Ibn-Saud staje się obrońcą niepodległości i jedności arabskiej i rozpoczyna walkę z dynastją Haszemitów, oskarżając ją o zdradę dzieła oswobodzenia arabskiego na rzecz wpływów cudzoziemskich (angielskich). Pierwszy atak we wrześniu 1923 r. był zwrócony przeciwko emirowi Transjordanji, Abdullahowi, a we wrześniu 1924 r. rozpoczął się, zakrojony na wielką skalę, atak przeciwko królowi Husseinowi w Hedżasie. W miesiąc później wojska Wahabitów zajęły Taif, odległy 70 klm. od Mekki. Z początkiem października król Hussein, pobity przez Wahabitów, opuszczony przez rozdwojoną ludność swego kraju i wyklęty przez świat muzułmański za to, że stał się narzędziem imperjalizmu brytyjskiego, zmuszony był abdykować na rzecz syna swego Aliego. Ten ostatni opuścił Mekkę i bronił się w Dżeddzie, która jednak już w grudniu 1924 r. dostała się w ręce Wahabitów. W ten sposób sułtan Nedżdu, Ibn-Saud, mógł się ogłosić królem Hedżasu. Anglicy natychmiast uznali nowego zdobywcę, zawierając z nim w 1925 r. i 1927 r. traktaty przyjaźni. W październiku 1926 r. zagarnął on większą część emiratu Assir, o który toczyła się wojna pomiędzy nim a imamem Jemenu. Później Ibn-Saud połączył wszystkie swe kraje w jedno państwo pod nazwą „Saudja".

W roku 1932 Anglja znosi swój mandat nad Irakiem i ogłasza niepodległość tego kraju. Dzięki temu wzmacnia się sytuacja międzynarodowa i międzyarabska Iraku i jego króla, zmarłego wkrótce potem, Fejsała. Autorytet dynastji Haszemitów znowu się podnosi i król Ibn - Saud widzi przed sobą rywala w osobie Fejsała. Przez Anglję jest popierany również i brat Fejsała, obecny emir Transjordanji, Abdullah, pretendent do połączonych ewentualnie Transjordanji, Palestyny i Syrji.

W Syrji jeszcze w roku b. ruch patrjotyczny doprowadza do przyrzeczenia przez Francję zniesienia mandatu i zawarcia traktatu przyjaźni pomiędzy obu państwami na wzór układu angielsko-irackiego. Delegacja syryjska rokuje obecnie w Paryżu, gdzie został już ułożony projekt przyszłego porozumienia francusko - syryjskiego.

W Palestynie toczy się dzisiaj walka o zniesienie mandatu brytyjskiego, czego jednak spodziewać się raczej nie należy. Sytuacja geograficzna tego kraju w pobliżu kanału Suezkiego czyni bowiem go nader ważnym dla bezpieczeństwa komunikacyj imperjalnych punktem strategicznym.

Król Ibn - Saud, widząc, że na przeszkodzie jego zamiarom, co do połączenia pod jego władzą wszystkim ziem arabskim, stoi Wielka Brytanja, zmienia taktykę i zawiera w r. bieżącym pakty sojusznicze z Irakiem i Jemenem. Liczy on widocznie na to, że sprzyjające okoliczności pozwolą mu powrócić w przyszłości do ulubionego projektu utworzenia zjednoczonego państwa arabskiego w Azji Mniejszej i na półwyspie Arabskim.

Wspomnienia z lat dziejowego przełomu

Melchior Wańkowicz

„Związek Broni"

III.

Przed rozwartemi drzwiami składów wojskowych kotłował się tłum żołnierzy. Rozgrabiano co się dało. Nagle posłyszałem rześki głos trąbki. Szeroką wiejską ulicą Dorobobuża zbliżała się kolumna piechoty. Maszerowali jak na paradzie, wybijając tempo. Poczet sztandarowy przed nimi. Prowadził por. Frankowski, znajomy, upatrzony do Związku Broni, którego właśnie miałem w Dorobobużu powołać.

— Wańkowicz, maszerujemy do Jelni. Chodźcie z nami.

Poprawiam swój chlebak i chcę doszlusować. Ale okazuje się, że narazie jest to marsz demonstracyjny po Dorobobużu. Brygada miała dwa pułki. Ten, w którym ja przemawiałem, rozleciał się. A w tamtym Frankowskiemu się udało. Jeszcze jeden dowód, co znaczy postawa oficera nawet w rozluźmonych stosunkach rewolucyjnych.

Nim wyruszą minie kilka dobrych godzin. „Odpocznijcie sobie, damy wam znać. Pojedziecie w trenie".

Nie wiem co się stało, ale obudziłem się na drugi dzień. Było koło południa. Chorzy poinformowali mnie, że Dorobobuż bez wystrzału objęli bolszewicy. Część brygady rozsiała się, część wymaszerowała (pewno Frankowski).

„Siestrziczki" kurowały mnie bardzo poczciwie. Lekarz rosjanin był ten sam. Po trzech dniach pozwolono mi za własne pieniądze kupić kurę i zjeść rosół. Uważałem nieraz, że w ciężkich opresjach takie momenty jak wyspanie się lub najedzenie nabierają wielkiego znaczenia. Tę kurę wspominam najżywiej.

Pisarz Torwald otrzymał wreszcie u miejscowych władz bolszewickich dokument podróży, dający prawo na bezpłatny przejazd koleją „na rodinu" w Mińsku. Serce mi podskakiwało z radości, kiedy, z dokumentem za pazuchą, szedłem po swój chlebak do szpitala. A gdyby tak kto wyspał jeszcze moje wyczyny krasomówcze?

Stróż szpitala, chytry chłopina o capiej bródce, skręcając „kozią nóżkę", zdradził pomarszczoną gębę chytrym uśmiechem:

— *Harno wy tutki bałakały*—powiedział z ukraińska.

Zdębiałem. Udałem, że nie słyszę i poszedłem równiutkim krokiem na stację. Myślałem, że mnie zaaresztują na dworcu. Ale nic. Chochoł, jak to chochoł; zarzuciło go aż na Białoruś, nudził się i chciało mu się pośmiać.

W Mińsku nie zastałem żony w domu. Była na zabawie Koła Polek. Poczłapałem się na tę zabawę i śmiesznie mi było widzieć sterty pensjonarskich kanapek na bufecie, panów podoficerów, zabójczo podkręcających wąsiki i cały ten drobnomieszczański burżuazyjny fason. Zresztą i tu była „rewolucja": sala chciała tańczyć, ale organizatorki nie pozwalały, bo był wielki post.

To Koło Polek powstawało na polecenie Związku Broni. Przy sferach szkelbantowo sztabowych, w bigh lifie mińskim, który ongi witał carów chlebem i solą zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Owo T.P.Z.P. było zbożne, poczciwe, moralne i święto wincento a paulowate. Z tęczowych robronów łaskawości w dnie uroczyste żołnierz miał otrzymywać pakiecik, w którym tkwiło pięć papierosów, różowe mydełko, grzebuszek, arkusik papieru z kopertą i jakaś modlitwa matki polki.

Naturalnie, skoro wypadki szły, Tepeżepe też stawiało sobie coraz większe zadania; napływały do niego dzielne elementy ludzkie, ale „czem skorupka..."

W tej naszej przebudowie psychicznej, którą podjęliśmy, mającej na celu jakość, nie ilość, ofiarę, nie wygodę, walkę, nie powrót, dzielność nie hierarchję — okropnie trzeba było istotnej demokratycznej pracy nie dla żołnierza, a z żołnierzem. Było to naszą troską w Komendzie. I tak, jak czuliśmy swoje braki w wychowaniu ideowem, swój brak tradycji P.P.S. w kierunku ubojowienia naszej akcji drogą rewolucyjną, tak w dziedzinie opieki nad żołnierzem nie umieliśmy przełamać w sobie pańskich nawyczek. Tak jak tam szukaliśmy eserów, aż przyszedł Lis Kula i nauczył, tak tu pomógł nam szczęśliwy traf.

Nazywał się M. A. Nowakowski. Związkowiec. Nigdyby zapewne do Związku nie trafił, gdyby nie trafił do Ligi, do której przyjmowano i raka i rybę. Jednak już w Lidze zdążył się wykazać i ostał się przy jej organizacji w Związek Broni.

O ile pamiętam był to pomocnik drogerzysty z Częstochowy. O ile pamiętam, nosił bródkę w szpic i mówił językiem przedziwnym, złożonym z najgórnolotniejszych wyrazów. Gruźlica już wtedy go gryzła.

Tę groteskową postać usuwaliśmy z naszego pola widzenia, o co się nie obrażał. Coś ględził o ojczyźnie w kajdanach i o tem, że dobrzeby było, żeby żołnierzom upiec placek i że on ma tani i doskonały przepis. Ucieszyliśmy się, że ma ten przepis, bo się na jakiś czas odczepi. Każda dziejowa chwila poruszenia dusz ludzkich ma bistrjonów, deklamatorów, megalomanów, reformatorów i filutów. Nie można się jednak odgrodzić od tej piany, idącej w awangardzie oceanu serc, bo ocean odpłynie.

Kiedy nas M. A. Nowakowski zaprosił wreszcie na ów placek, zdumieliśmy się. Wykombinował lokal, wykombinował jego dekorację. Nie zliczyłbyś, ile tam było orłów, serc gorejących, Polsk powstających z pod płyty grobowej, Kościuszków patrzących z nieba i kruszonych kajdanów.

Ale co było najważniejsze, to te panieneczki, powyciągane przez M. A. Nowakowskiego z za lad sklepowych, z rodzin różnych funkcjonarjuszy kolejowych, ewakuowanych z Królestwa, w których siedziały bezczynnie, oderwane od swoich środowisk w kraju.

Teraz biegały, rozpromienione, roznosząc placek upieczony wedle świetnego częstochowskiego przepisu. Czuły się zupełnie na miejscu w swoich naiwnych kretonowych sukienkach, patrzyły na częstowanych żołnierzy nie jak na pupilków, ale jak na władców. Wszystkim było dobrze. A kiedy M. A. Nowakowski wygłosił przemówienie i zażądał od wszystkich przysięgi, że tu na miejscu a jakże natychmiast będą padali „gęstym trupem", jak Najjaśniejsza Rzeczypospolita zażąda, przysięgały, a jakże, panienki z wypiekami na twarzy, przysięgali żołnierze, wycirusy po czterech latach frontu, a potem jedli placek, tańcowali i bawili się w gry towarzyskie.

Zły, że musiałem z siebie robić małpę i przysięgać na gęstego trupa, poczułem, że M. A. Nowakowski ma wielki talent organizacyjny, że potrafi stworzyć nowy styl, którego my, skoro nie zaczęły się bitwy, skoro nie zaczęły się niebezpieczeństwa, stworzyć nie potrafimy. Poprostu — nie mieliśmy czem opłacić wpisowego w zaufanie żołnierskiej masy.

Na drugi dzień detaszowaliśmy ze Związku parę niewiast z poleceniem pracy z M. A. Nowakowskim. Na szczęście był on bardzo karny i w istocie płonął ideją. Nasze niewiasty miały zapał, młodość i zupełne poświęcenie sprawie. Nie mogli się nie zgadać. Gdy odrzucono wolę organizacyjną i talenty społeczne szerszego typu, robota poczęła się szerzyć jak pożar. Zaś Nowakowskiego wysłał Związek Broni do innych ośrodków, zawiązywać „Koła Polek" zawsze jakiegoś dźwięcznego imienia. „Koło Polek" Mińskie było np. „Kołem Polek imienia Księcia Józefa Poniatowskiego". Patron był znamienny i obiecujący. Dziewice przestały się nudzić. Żołnierze zżerali masę placków i na kredyt czuli się bohaterami. Gruźlik M. A. Nowakowski, czepiając się stopni przepełnionych towarówek, przelatywał w trzaskające mrozy od miasta do miasta i zakładał coraz nowe koła.

W ten sposób ze strony uspołecznienia żołnierza zrobiono dużo. Ze strony ubojowienia nasi ludzie przerabiali w oddziałach robotę, która nadspodziewanie dawała wyniki. Tej robocie trzeba jednak było, jak roli uprawionej deszczu — chrztu krwi. Czekaliśmy na to.

Tymczasem w dziedzinie wpływu na dowództwo mieliśmy najsłabsze możliwości. Nie mieliśmy rang wyższych, zaś korpus tworzył się według zasad hierarchicznych. Odwrócić umysły od ustalonego porządku było nad nasze siły. Najsamodzielniejsze z nich, jak płk. Mościcki, wpadały w herezję: adorację kraju, a z nim Rady Stanu. Czyż można się dziwić, że żołnierz, który całe życie spędził na Syberji, tęsknił do kraju, do hierarchji i do władzy, której może słuchać. Cóż mogliśmy, młodzi ludzie, mu przeciwstawić? Nieobowiązujące filozofowanie? Czy może masowy werbunek do Związku Broni? Byłoby to powtórzenie błędów Ligi Walki Czynnej.

Karty odkryliśmy tylko gen. Żeligowskiemu. Cały czas był dla nas lojalny. Pamiętam narady, czy go zaprzysięgać. Ale wówczas musiałby być podwładnym własnego porucznika Małagowskiego. Więc pozostawał w charakterze życzliwego niezaprzysiężonego obserwatora.

I w tej dziedzinie — wpływu na bieg spraw od góry — byliśmy najsłabsi. Generał Dowbór mówił w publicznych przemówieniach o „towarzystwie", które stanęło za wojskiem, nie znając jeszcze w swoim ubogim leksykonie wyrazu „społeczeństwo". Mimowoli jednak mówił prawdę. Owo towarzystwo zaś w kobiecej swojej połowie uprawiało filantropję i kult „malowanych dzieci", a w męskiej żądało natarczywie obrony majątków. Raz po raz pluton ułański, lub szwadron jechał w obronie dziedziców na ekspedycje karne i katował do krwi. Juści byli to Polacy, trzeba było bronić polskiego stanu posiadania. Ale sens sprawy kurczył się w świecie ułańskich nabajów.

Ten sens sprawy był inny dla ziemian, inny dla oficerów, inny dla pragnących powrotu żołnierzy i inny dla endeckich polityków. Pierwsi czekali Niemców, drudzy Korniłowa czy innego Kołczaka, trzeci wieści z Paryża, a my pierwszych strzałów. Czuliśmy, że przegramy, jeśli nie zaczniemy strzelać do Niemców. Ale ich front trwał nieruchomy. Tymczasem dla wprawy strzelaliśmy do bolszewików.

W rejonie koncentracji Bobrujskiej najwcześniej znalazła się pierwsza dywizja Żeligowskiego z komendantem związkowym Małagowskim. Małagowski dobrał sobie kompanję typową dla tego okresu. Sam będąc saperem, stworzył oddział konnych saperów — wybuchowców, bardzo potrzebny w podjazdowej wojnie. A jakby mu tego dziwolągа nie było dosyć, zafasował zdobytą na bolszewikach lokomotywę, lory, wagony, opatrzył to workami z piaskiem, postawił armaty i karabiny maszynowe, zawagonował swoich konnych saperów z trzydziestu końmi i rozpoczął jedyną w swoim rodzaju partyzantkę na Krasny Brzeg, na Tiełuszę, na Żłobin. Z drugiej strony dyzlokacji bronił ze swymi żołnierzami toru kolejowego związkowiec Sołtan. Pod Jasieniem mosty wysadzał nasz człowiek, por. Strawiński. Doszedł do tego jeszcze, już poza sferą wpływów Związku Broni, por. Golcz ze swym partyzanckim oddziałem jazdy. Poza tem były jakieś poruszenia tam i z powrotem jakichś naszych oddziałów, ale jądrem gotowości bojowej były te cztery grupki. Nazywało się wojna, a byli poszczególni ludzie. Pod Żłobinem do kontrataku ruszył Małagowski na czele niespełna dziesięciu ludzi i odparł kontratak idący szeroką ławą. Mówiłem o ataku samotrzeć na karabiny maszynowe komendanta związkowego artylerji. Takie zdarzenia były typowe dla tej improwizowanej wojny. Typowe i rozstrzygające. Dlatego moja propozycja w Dorohobużu zatrzymania ataku bolszewickiego siłą dziesięciu ludzi była realna. Te improwizacje przeciągnęły się aż na wojnę 1920 r. Na innem miejscu znajdzie czytelnik opowiadanie por. Lechnickiego o odparciu ataku kawalerji Budiennego w kilkanaście szabel.

Żołnierze pociągu pancernego Małagowskiego byli zaprzysiężeni do Związku. Pociąg sam nazywał się „Związek Broni". Kiedym zobaczył po raz pierwszy tę dumnie wymalowaną nazwę, ogarnęło zgorszenie moje konspiratorskie serce. Stasiek Małagowski parsknął śmiechem:

— Cóż chcesz? Artylerji może nie mamy? — Jest! Może nie mamy kawalerji? — jest. Wojska techniczne? — są! Wojska kolejowe — a jakże! Jesteśmy związek broni na fest i jak się patrzy.

Dziwne to było bractwo na tej pancerce. Trochę junkrów, co wolnymi czasy lubili politykować, trochę jakichś bandyciaków, mających w kraju kondemnatki karne, co wolnymi czasy lubili pograbić. Mieli maszynistę, eks-jeńca z armji niemieckiej, Dreczkowskiego. Stary miał ponad pięćdziesiątkę i kochał się w broni i w swoim komendancie, a Niemców nienawidził żywiołowo. Na tenderze miał cały magazyn sztucerów krótkich, długich, rozmaitych modeli. Kiedy pokazywała się bolszewicka tyraljera, stary zatrzymywał maszynę, krzyczał tryumfalnie: „uny! uny!", pakował pośpiesznie niezgaszoną fajkę do kieszonki od kamizelki, wyskakiwał na tor, przyklękał na jedno kolano i grzał w bolszewików, starannie mierząc. Potem, kiedy tyraljera bolszewicka pierzchała, a z towarowych wagonów spadały specjalnie sporządzone pomosty, któremi zjeżdżał w pełnym ekwipunku oddział „konnych saperów pancernych" i ruszał na rekonans, stary wracał mrucząc do swoich oliwiarek. Przeczuwał już, że wracając z wycieczki, komendant już z daleka krzyczeć będzie: „za namiętowy karaluch jesteście, Dreczkowski"!

Za to dwaj sierżanci byli wzorem twardej żołnierskiej dyscypliny. Sierżant Wilk — twardy zupak, jak się mówiło w galicyjskiej armji, „grochowaja szkura" według żargonu moskiewskiego, był zawodowym feldfeblem rosyjskim. Chłopisko ponure, w sobie zamknięte, zimne w swojem okrucieństwie, przeznane w fortelach „rekruckich mord", które należy cukać i wyprażać na sołdatów.

Z Wilkiem zachodziła dziwna metamorfoza. Otrzymał komendanta narwanego, do którego nie wiadomo było jakim bokiem należy się ustawić. Stasiek zdobył gdzieś beczkę doskonałej starki, którą jego żołnierze wymyszkowali zakopaną przez dziedzica w jakiejś stodole. Starka miała przedziwny aromat i stała w przedziale pana porucznika. Popijawa odchodziła całym oddziałem i przy czynnym udziale pana komendanta. Stasiek miał słabą głowę i po paru kieliszkach robił się niesłychanie czuły, wymowny i arbitralny. Kazał sobie śpiewać piosenki, inicjował tysiąc zabaw, sypały się kawały. Wilk patrzył z pod oka i klasyfikował. Miał w swojem długoletniem doświadczeniu szefów bałagułów i pijaniców. Miał takiego, który lubiał po pijanemu bawić się z żołnierzami w „czechardę" (przeskakiwanie kolejne przez pochylone plecy). Takiego szefa dobry feldfebel łatwo zażywa.

(D. c. n.).

NOTATNIK POLITYCZNY

Gdańsk

Drażliwość sprawy gdańskiej, jak przewidywaliśmy przed dwoma tygodniami, nietylko nie maleje, lecz narasta nieledwie z dnia na dzień.

Sprawa satysfakcji dla Wysokiego Komisarza Ligi Narodów nie jest załatwiona. Pogwałcenia konstytucji Wolnego Miasta są na porządku dziennym, przyczem mają charakter nietylko wyraźny i zdecydowany, lecz — co więcej — niejako manifestacyjny, tak jakby celem ich było utrzymanie sprawy w stadjum daleko idącego zaognienia i naprężenia.

A równocześnie — obok konfliktu z Wysokim Komisarzem — narasta i inny konflikt: bezpośredni z Polską. Wynika on zarówno z wyjątkowej sytuacji Polski, jako gwarantki wewnętrznego porządku w Gdańsku, jak również stąd, że wszelkie zmiany dotychczasowego stanu faktycznego i prawnego mogą być w następstwie — i to w przyszłości bardzo niedalekiej — zwrócone zarówno przeciwko prawom i interesom Państwa Polskiego, jak również przeciwko prawom i interesom polskiej ludności w Gdańsku.

Nie chcemy zastanawiać się nad tem, czy polityka polska w stosunku do Gdańska była w ostatnim okresie słuszna, czy błędna. W każdym razie polityka ta musi się dzisiaj liczyć z wytworzoną obecnie na terenie Wolnego Miasta sytuacją, której podstawową cechą jest dążenie do: 1) wyeliminowania pierwiastka opieki Ligi Narodów, 2) wytworzenia stanu faktycznego i formalnego pertraktowania Polski z Gdańskiem, jako z suwerennem państwem, 3) wytworzenia stanu faktycznego, przy którym jasne byłoby dla wszystkich, że o sprawach gdańskich skuteczniej rozmawia się z Berlinem, niż z Warszawą. Zrealizowanie tego programu dawałoby władzom Wolnego Miasta Gdańska możność stopniowej realizacji politycznego powrotu do Rzeszy, przy gospodarczem zapewnieniu sobie korzyści z faktu pośredniczenia portowego pomiędzy Polską a światem.

Dla Polski tego rodzaju ewolucja stosunków jest nie do przyjęcia. Lecz jeśli tak, to trzeba mieć jasne poczucie, że czas pracuje w tej chwili nie dla nas, lecz dla Gdańska i że zwlekać z przeciwstawieniem odbywającemu się na terenie Gdańska procesowi zdecydowanej polskiej woli nie można.

Polska nie jest entuzjastycznie nastrojona w stosunku do dzisiejszego stanu. Lecz jedyna zmiana, którąby Polska mogła zaakceptować, to jest przyjęcie zasady, że mandat z ramienia Ligi Narodów nad Gdańskiem spełniany jest automatycznie przez Polskę, w ramach jej dotychczasowych uprawnień reprezentowania interesów politycznych Gdańska nazewnątrz.

Lecz ani takie, ani inne rozwiązanie sprawy gdańskiej nie przyjdzie samo. Stąd też zrozumiałą jest rzeczą, że społeczeństwo polskie w kraju niepokoi się pewnego rodzaju obojętnością na przewlekanie sprawy, jaką zdają się — przynajmniej pozornie — przejawiać polskie czynniki bezpośrednio zainteresowane.

Wyrazem żywego zainteresowania społeczeństwa były ostatnio odbywające się pod auspicjami Ligi Morskiej i Kolonjalnej manifestacje. Wywołały one z natury rzeczy ostre niezadowolenie czynników kierowniczych Wolnego Miasta, czego wyrazem było stanowisko prasy gdańskiej, wyrażające szereg zasadniczych zastrzeżeń, przeciwko rzekomo zbytecznemu zaostrzaniu sprawy.

Nie chodzi tu o polemikę z tym stanowiskiem, o przekonywanie się, kto i w jaki sposób w istocie przyczynia się do naprężenia w obecnej chwili całości stosunków polsko-gdańskich. Jedno tylko Gdańsk powinien wiedzieć z całą jasnością. Forma tego rodzaju manifestacji, jakie odbywały się w ostatnich tygodniach w szeregu miast polskich, była najłagodniejszą formą ostrzeżenia. Nie znaczy to jednak, by była ona jedynym środkiem reakcji ze strony Państwa Polskiego na kroki, któreby miały na celu realizację jakiegokolwiek programu, nieliczącego się nietylko z gospodarczemi, ale i z politycznemi interesami Polski w Gdańsku.

Podobna sytuacja była przed kilku laty. Wówczas Polska znalazła formę dostatecznie skutecznej manifestacji przez powiększenie siły liczebnej swej wojskowej załogi na terenie Westerplatte. Nie chcemy przesądzać, jakie środki i sposoby powinny być zastosowane w obecnem stadjum sprawy. Wydaje nam się jednak, że powinny one być przejęciem w ręce polskie inicjatywy, która od pewnego czasu znajduje się w rękach władz Wolnego Miasta i z której władze te robią niewątpliwie zły użytek.

ZAGADNIENIA

O zdrową politykę personalną

W połowie czerwca i w pierwszych dniach lipca b. r. padli na posterunku z rąk byłych pracowników dwaj kierownicy instytucyj ubezpieczeń społecznych. Zrozumienie podłoża i przyczyn tych tragicznych wypadków na podstawie informacyj, które się przedostały do prasy nie jest możliwe. Tragedja ludzka pierwszej sprawy prawdopodobnie nie zostanie wyjaśniona, gdyż zabójca bezpośrednio po morderstwie odebrał sobie życie. Na mord dokonany w Warszawie na osobie wybitnej i wartościowej jednostki, cieszącej się uznaniem w kołach pracowniczych, ś. p. dr. W. Gosiewskiego, rzuci pewne światło rozprawa karna przeciw mordercy, jaka ma się odbyć w pierwszych dniach sierpnia b. r. Z przebiegu tej rozprawy być może zorjentujemy się, w jakim stopniu przyczyny tego ohydnego mordu tkwią w ogólnych warunkach, w jakim zaś mamy do czynienia z objawem psychopatji i zaniku pojęć moralnych u jednostki.

Nie uważamy za właściwe i za możliwe wypowiadać się w tych sprawach, nie mając do ich oceny należytych materjałów. Interesują nas natomiast głosy, jakie się podniosły bezpośrednio po pierwszym i wzmocniły po drugim wypadku ze strony osób i środowisk, które znają, należy przypuszczać, warunki pracy w instytucjach ubezpieczeń społecznych oraz załatwianie spraw personalnych pracowników tych instytucyj. Głosy te wskazują na ujemne strony polityki personalnej i zwracają się do Rządu z apelem, niemal rozpaczliwem wołaniem o ratunek.

Okazuje się, że ujemne skutki systemu, polegającego na nieliczeniu się w poważnym stopniu z istotnemi wartościami pracowników, na stosowaniu wywiadów i wprowadzaniu różnic o charakterze politycznym przez t. zw. „personalistów", rekrutujących się z ludzi, nieznających terenów pracy, jej celów i wartości, powiązań ludzi ideą, z pracy wynikającą — przeszło z urzędów państwowych do niektórych przynajmniej instytucyj publiczno-prawnych i dokonało tam spustoszenia, podważyło moralne podstawy pracy, nadwyrężyło wiązania moralne, bez których żaden twór zbiorowy normalnie funkcjonować nie może. To stwierdza poseł Włodzimierz Szczepański w interpelacji, wystosowanej z końcem czerwca b. r. do P. Ministra Opieki Społecznej, to samo stwierdza centrala ruchu pracowników umysłowych i to samo spotykamy w piśmie wydawanem przez Związek pracowników instytucyj ubezpieczeń społecznych: „Echu Społecznem".

W artykule p. L. Wolskiej, p. t. „Samosądy", jest wskazanie na ujemne skutki rozwiniętego protekcjonizmu. „Pracownicy, oparci o protekcje — pisze słusznie p. Wolska — nie silą się na maximum wydajności swej pracy, pewni i tak swej sytuacji. Pozbawieni protekcji również nie wierzą, by największy wysiłek z ich strony mógł uwolnić od niepewności jutra. Ludzie bez pracy nie starają się o podniesienie swych kwalifikacyj, nie mogąc wierzyć w ich pomoc w uzyskaniu pracy. Utrata tej wiary prowadzi do poczucia niepotrzebności na tym świecie..." — Najbardziej jednak charakterystyczne są uchwały zarządu Związku przytoczone w tem piśmie: „Niechaj natomiast, — czytamy w tych uchwałach — poczucia bezstronności i sprawiedliwości zapanują w naszych stosunkach personalnych i stworzą warunki nowego etapu w rozwoju instytucyj ubezpieczeń społecznych dla dobra Polski i Polskiego Świata Pracy". Zarząd Związku zwraca się do p. Premjera i P. Ministra Opieki Społecznej **„z usilną prośbą o osobiste wniknięcie w całokształt sprawy ubezpieczeń społecznych, a specjalnie w całokształt stosunków polityki personalnej".**

Nie sądzimy, aby te rozpaczliwe wołania pozostały bez odpowiedzi. Dźwięczy w nich zbyt silna trwoga o skutki polityki personalnej, niezależnie od tego, czy pozostają one w związku przyczynowym z tragiczną śmiercią dwóch kierowników instytucyj ubezpieczeń społecznych, czy tylko ten niepokój został ujawniony w obliczu śmierci. Naszem zdaniem, podstawy polityki personalnej powinny być poddane rewizji, nietylko na terenie ubezpieczeń społecznych. Jest to jeden z warunków realizacji tych wielkich idei, jakie przed społeczeństwem rzucił Generalny Inspektor Sił Zbrojnych. Administracja rządowa i samorządowa musi być najzdrowszym organizmem w Państwie, na niej, przy wszelkich rozwiązaniach, jakie znajdziemy, oprzeć pracę państwową musimy. Zaniedbywane od początku istnienia Państwa zagadnienia organizacji, doboru i kwalifikacyj administracji powinno być podjęte i rozwiązane gruntownie.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Nacjonalizacja przemysłu wojennego we Francji

(r.p.) Parlament francuski uchwalił olbrzymią większością głosów nacjonalizację przemysłu wojennego we Francji. W ten sposób został poczyniony pierwszy krok do etapowej realizacji haseł gospodarczo-społecznych zakreślonych programem wyborczym lewicy francuskiej. W tej chwili trudno jeszcze ocenić wszystkie skutki tego kroku, zwłaszcza te, jakie wywoła emisja renty, przeznaczonej do pokrycia kosztów wywłaszczeniowych. Temniemniej z zasadniczego punktu widzenia można już dzisiaj poczynić pewne spostrzeżenia, dyktowane „rewolucyjnością" nacjonalizacji czy, jak kto woli, upaństwowienia lub uspołecznienia francuskich fabryk przemysłu wojennego. O ile bowiem w Polsce nie jest nietylko niczem dziwnem, ale zupełnie oczywistem, iż przemysł wojenny jest oddawna upaństwowiony, o tyle tego rodzaju kroki i poczynania na tle francuskiem stanowią poważny wyłom w sakralnych niemal tradycjach francuskiej polityki gospodarczej. Nie sposób się przy sposobności powstrzymać od — może niesłusznej, lecz wyrosłej na tle wielu twierdzeń — uwagi, iż w ten sposób skończy się zapewne okres, w którym francuski przemysł wojenny mógł pośrednio pracować na rzecz państw, którym z punktu widzenia francuskiej polityki nie powinien był niczego dostarczać.

Anschluss

(r. p.) „Anschluss moralny", jak go nazwała prasa codzienna będzie zapewne musiał z natury rzeczy odegrać ważną rolę w dziedzinie kształtowania się sytuacji gospodarczej w skali międzynarodowej. Polityka niemiecka dąży niezmordowanie do stworzenia wojennego organizmu gospodarczego, a więc organizmu o uzupełniającej się strukturze przemysło-

wo-rolnej, z możliwie największym zapasem surowców. W tym zakresie wojaże dr. Schachta zdołały — jeśli się tak wyrazić można — w pewnym stopniu podporządkować południową część Mitteleuropy, to jest Balkany. Bolący ząb w postaci Austrji został zaplombowany. Spowoduje to bezwątpienia dalszą zmianę pod względem gospodarczym, w zależności od roli jaka przypadnie Austrji. Z tej też przyczyny należy uważnie rozwój tej kwestji śledzić. Idzie mianowicie o to, czy w wyniku ugody niemiecko-austrjackiej nastąpi zsynchronizowanie gospodarstwa austrjackiego z niemieckim, w jakiej mierze i w jakim kierunku.

Z TYGODNIA

Interesy klasowe ziemiaństwa

Argumentem, w braku innych, najchętniej przez prasę konserwatywną używanym i mającym zawsze do reszty pognębić niewygodnego przeciwnika, jest imputowanie mu tendencyj komunistycznych. Z chwilą, gdy czyjeś postępowanie, działalność jakiejś organizacji lub instytucji godzi w klasowe interesy konserwatywnych „panów" — natychmiast nalepia się etykietkę komunistyczną, oczywiście z zachowaniem odpowiedniego pseudo-patrjotycznego ceremonjału. Do jakiego stopnia posuwa się w takich wypadkach inicjatywa niektórych pism, świadczy zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Czasu" artykuł p. t. „Oficjalny komunizm". Atakuje się w nim Centralny Związek Młodej Wsi i wydawany przez tą organizację miesięcznik „Przodownik Wiejski" za umieszczenie następujących rozważań:

„Jeśli rząd chce mieć chłopów po swojej stronie, to musi przeprowadzić reformę ustroju rolnego, zmierzającą do stworzenia drobnych gospodarstw rolnych z wielkich fortun magnackich i obszarów ziemiańskich — obecnie zaś musi czuwać, by ziemianie płacili należne podatki na równi z chłopami i nie czerpali pożyczek ze skarbu państwa.

Rząd, który chce mieć zaufanie na wsi, musi wywłaszczyć wszystkie kopalnie, przejąć lasy, jako że to stanowi bogactwo narodowe, z którego dochód powinien być obrócony w całości na obronę narodową.

Fabryki i wszelkie przedsiębiorstwa muszą być uspołecznione, by dochód z nich mógł być dzielony między obecnych właścicieli i pracowników tych zakładów.

Po wyrównaniu krzywd społecznych, stworzeniu wszystkim ludziom względnie równych warunków bytowania, można będzie wykrzesać entuzjazm do pracy i wyzyskać nadmiar rąk roboczych do tworzenia bogactwa narodowego i obronności państwa. Przy takich przemianach można będzie rozbudzić wśród mas chłopskich i robotniczych zapał do ofiar i poświęceń na rzecz powiększenia obronności państwa".

Czego „Czas" przestraszył się najbardziej, gdzie dojrzał „komunizm"? Chyba nie w tych zdaniach, w których mówi się o obronie narodowej i chyba nie w żądaniu przeprowadzenia reformy rolnej, bowiem wówczas do rzędu komunistycznych wydawnictw zaliczyćby należało również „Polskę Zbrojną", a nawet i „Gazetę Polską"... Bo przecież nie jest komunistycznem żądanie, aby ziemianie płacili należne podatki narówni z chłopami i nie czerpali pożyczek ze skarbu państwa. Chyba, że chcielibyśmy do komunistów zaliczyć całe polskie społeczeństwo z wyjątkiem wydawców i prenumeratorów „Czasu", lecz wówczas komunizm przestałby już być dogodnym i wystarczającym straszakiem.

Jedziemy na Olimpjadę

Niespełna dwa tygodnie dzieli nas od Igrzysk Olimpijskich, mających odbyć się w tym roku w Berlinie. Wezmą w nich udział reprezentacje tych wszystkich państw, które mają choć cośkolwiek w sporcie do powiedzenia. Za kilka już dni wyjeżdżają polscy zawodnicy bronić naszych barw w najpiękniejszych zawodach świata. I w tej właśnie chwili wszczyna się w pewnych kołach nagonkę na wyjazd, rzuca się hasło powstrzymania się od udziału w „hitlerowskiej" Olimpjadzie. „Na znak protestu — jak pisze „Robotnik" — w imię obrony polskiego honoru, w imię zademonstrowania naszych pokojowych tendencyj, w imię najszlachetniejszych praw ludzkich bezlitośnie łamanych prze zhitlerowców w Niemczech" Polska powinna odwołać swój udział w Igrzyskach.

Nonsensowność takiego żądania jest oczywista. Nie mówimy już o tem, że długotrwałe i kosztowne przygotowania, kilkuletnie nieraz wysiłki zawodników miałyby pójść na marne. — Gdyby były ku temu istotne powody, należałoby to wszystko z ciężkiem sercem przekreślić. Ale na jakiej podstawie sugeruje się, że Igrzyska Olimpijskie są polityczną imprezą hitlerowską, a nie manifestacją braterskiej walki sportowców całego świata? Niemcy są jedynie technicznym ich organizatorem, mandatarjuszem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, który przecież z hitleryzmem niema nic wspólnego. Można było swego czasu protestować przeciw powierzaniu im tej funkcji, wtedy był czas na okazanie swego ewentualnego niezadowolenia; — Dzisiaj, nie wchodząc w ocenę potrzeby takiego kroku, protest udeRzyłby tylko w nas samych. Wyrzeklibyśmy się tego wielkiego atutu, propagandowego, jakim jest obecność Polski w Berlinie, niezależnie nawet od znaczenia sukcesów i zwycięstw, których się przecież nie wyrzekamy.

O słuszności naszego stanowiska najlepiej chyba mówi udział w Olimpjadzie państw skandynawskich, których socjalistyczne rządy inaczej rozumują niż dziennikarze „Robotnika". Nawet Francja Frontu Ludowego poparła wyjazd reprezentacji do Berlina. Dlaczegoż mielibyśmy postępować inaczej?

JESZCZE O BRZOZOWSKIM

Żółć i wnioski ostateczne

Jak przewidywaliśmy w poprzednim N-rze naszego pisma do sprawy polemiki z „Merkurjuszem Polskim" zmuszeni jesteśmy jeszcze raz powrócić.

Nie będziemy już nadmiernie nużyć naszych czytelników. Chodzi tylko o zreferowanie obecnego stanu argumentów i stanowiska strony przeciwnej.

W stanowisku tem należy rozróżnić dwa momenty. Jeden to stosunek do nas, jako do reprezentanta poglądu, że przed ponownem zbadaniem w dzisiejszych warunkach sprawy Brzozowskiego przedwcześnie jest mówić o winie, drugi — to stosunek do samej sprawy Brzozowskiego.

Co do momentu pierwszego wszelka dyskusja jest trudna. Stoimy bowiem wobec takiego wybuchu furji, który dyskusję uniemożliwia. Jako „obrońcy o niedźwiedzich łapach" jesteśmy zaliczeni do „falangi sprzymierzonych skrybów", w stosunku do której Szanowna Redakcja „Merkurjusza" ma „tylko pogardę". Wniosek ostateczny w naszej sprawie brzmi dokładnie: „Ale znają cię mydłka. Tobie obca jest walka i poświęcenie. Ty chcesz dobre imię dla Brzozowskiego nie wywalczyć, ale wyszachrować ulicznemi wyzwiskami, wyszantażować kruczkami adwokackiemi, wycyganić. Stanem chcecie się ze sprawy wykręcić, panowie obrońcy o niedźwiedzich łapach i robaczywych sercach".

Przytoczyliśmy dosłownie parę przykładów z bogatej serji epitetów, któremi zostaliśmy potraktowani przez redakcję pisma, które miało ogromną pretensje do p. Kosińskiego za samo użycie określenia, że słowo „ordynaryjny" w tytule „Merkurjusza Polskiego" czasem zamienia się na „ordynarny". To też jeśli chodzi o ten odcinek polemiki, o dobór epitetów, jesteśmy pokonani bezapelacyjnie. Nie możemy się nawet kusić o wyrównanie. Możemy najwyżej stać w niemym podziwie. No i nieco w obawie, czem się to skończy. Bo w danym wypadku mogłaby znaleźć uzasadnione zastosowanie lekka trawestacja znanego wiersza Ujejskiego:

„Żółć falą się rzuca, przesłania mu oczy,
Strach myśleć, co będzie. Lekarze, pomocy!"

*

No, a jeśli chodzi o sprawę Brzozowskiego i wnioski ostateczne w tej sprawie.

Tutaj sytuacja przedstawia się już zupełnie inaczej. Wniosek ostateczny brzmi:

„Ale niech obrońcy Brzozowskiego przyjmą do wiadomości jeden drobny, ale dość istotny fakt: oto ani ja, ani nikt z t. zw. „wrogów" Brzozowskiego, czyli „oszczerców", („potwarców zmarłych") nie skazuje go za udział w „Ochranie". Mam głęboką litość dla tego człowieka, który nie wiem, czy był winny szpiegostwa (uważacie panowie? N i e w i e m, c z y b y ł w i n n y?), ale miał ciężkie życie, tak ciężkie, że niech Bóg wszystkich zachowa od męczarni, których zaznał Brzozowski. W i d z ę n i e w i n ę B r z o z o w s k i e g o, a l e z a g a d k ę B r z o z o w s k i e g o (podkr. red. „Nar. i Państwa"), w której, niestety, fakty są przeciw niemu".

Do wezwania zastosujemy się chętnie. Przyjmując powyższe oświadczenie do wiadomości, stwierdzamy, że takie postawienie sprawy stanowi rzeczywiście w całej dyskusji fakt „dość istotny", naszem zdaniem nawet bardzo istotny.

Lecz jeśli ktoś mówi: „nie wiem, czy Brzozowski był winien!". W sprawie tej widzę „nie winę Brzozowskiego, ale zagadkę Brzozowskiego!" — to niech nie dziwi się, gromadząc fakty obciążające, że ktoś inny nie uznaje tych faktów za wystarczające do wydania najsurowszego wyroku, jaki sąd ludzki wydać może, bo wyroku nad pamięcią nieżyjącego człowieka.

Bo nie jest prawdą, byśmy w jakimkolwiek punkcie dyskusji z naszej strony stawiali żądania: „umówmy się, że Brzozowski jest niewinny. Bakaj nieważny, Burcew nieważny, czarne listy PPS., SDKP. i L., PPS. Fr. Rew. nieważne. Wykreślamy z rejestru sprawę z roku 1898 i 1909, wykreślamy Grabca, wykreślamy Niemojewskiego. Anuluje się".

W naszem wtrąceniu się do dyskusji myśmy nic nie wykreślali, myśmy tylko reprezentowali następujące stanowisko: Nie jest prawdą, by oskarżenia w stosunku do Brzozowskiego nie były „poważnie zakwestjonowane". Istnieje w Polsce czynnik, to jest Polska Akademja Literatury, która jest powołana do podjęcia sprawy Brzozowskiego w oparciu o dzisiejszy stan dowodów i argumentów. Zanim to się nie stanie, niema powodu do przesądzania winy Brzozowskiego, jak również niema powodu do wysuwania przypuszczeń, że rozlegające się tu i ówdzie głosy, domagające się rehabilitacji Brzozowskiego, są „wynikiem rozkazu".

Sprawa jest paląca i będzie paląca. Właśnie dlatego, że wbrew stanowisku redakcji „Merkurjusza" wpływ dzieła pisarskiego Brzozowskiego na umysłowość polską jest wciąż jeszcze żywy i silny. Zwalczanie tego wpływu drogą argumentacji rzeczowej jest moralnem prawem każdego, kto — jak redakcja Merkurjusza" — dla „Brzozowskiego, jako pisarza, ma niechęć". Zwalczanie tego wpływu argumentem, że „Brzozowski stał się współpracownikiem żandarmów rosyjskich", jak to czyni encyklopedja ‚Ultima Thule", a co „Merkurjusz Polski" w N-rze 15-ym nazywa „łagodną notatką" — jest czemś, co normalnie nie daje się pogodzić ze stanowiskiem sformułowanem w N-rze 21-ym, a którego konkluzją są przytoczone wyżej słowa „nie wiem, czy Brzozowski był winien".

I o ten szczegół sprawy tylko chodziło.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Poezja Polski walczącej

I.

Rzecz nie do wiary: od czasu Karmazynowego poematu Lechonia nie mieliśmy w naszej współczesnej, powojennej literaturze ani jednego poety, o którym możnaby było powiedzieć, że naprawdę reprezentuje w swojej twórczości narodowe, polskie ambicje.

Zachwycaliśmy się kolejno różnemi prądami w naszej nowej poezji, zachłystywaliśmy się importowanem z winnic zagranicznych, cieniutkiem najczęściej winkiem wszelakich idej międzynarodowych. O polskości kultury naszej, o polskości naszej poezji jakbyśmy zupełnie natomiast zapomnieli. Problem ów dla nas nie istniał, jeśli nawet poezją interesowaliśmy się i jeśli nawet losy jej obchodziły nas dosyć żywo.

Uświadamiamy to sobie dopiero dziś, kiedy sytuacja cokolwiek zmieniła się i kiedy mamy oto sposobność się przekonać, jak wygląda prawdziwa, niepodrabiana polskość w poezji.

Czytelnik, interesujący się współczesną poezją polską, niewątpliwie się domyśla, że będzie tu mowa o Wolności tragicznej Kazimierza Wierzyńskiego.

II.

Wolność tragiczna, to piękny rapsod na cześć nieśmiertelnej w dziejach Polski postaci Józefa Piłsudskiego. Ale nietylko: nowa książka Wierzyńskiego zamyka w sobie również Polskę. Tę właśnie Polskę, którą przyszłe pokolenia będą nazywać Polską z epoki Piłsudskiego. Czy Wierzyński poszedł utartemi, utorowanemi przez innych drogami, dając w wierszach swych wizję Polski dzisiejszej? Czy oglądał się na kogokolwiek, żeby podejrzeć, jak inni patrzą na Polskę? Czy liczył się z tem, że własny jego sposób patrzenia, własna jego wizja może się nie spodobać komu?

Wierzyński jest całkowicie odrębny i niezależny. Ogarnia otaczającą rzeczywistość własnem, samodzielnem spojrzeniem i własną, samodzielną tworzy o Polsce wizję. Niewątpliwie jest piękna ta wizja. Ale i goryczy Wierzyński nie szczędzi. Obojętność społeczeństwa dla dziejowych poczynań niepodległościowych Piłsudskiego, zarówno w latach przed wojną jak i w pierwszych latach wojny, kiedy wojsko polskie stało się już faktem historycznym (Rok 1914); „świecenie w oczy Europą", ciągłe opieranie się na kimś i wyczekiwanie cudu — a przy tem wszystkiem tragiczna niewiara we własne siły i własną zdolność dźwignięcia się z nieszczęścia (Manewry strzeleckie); bezmyślne uleganie społeczeństwa nawet w przełomowych, o znaczeniu dziejowem chwilach „przeszłości kościotrupiej", czyli tym wszystkim przywarom i wadom przeszłości, które zgotowały grób Polsce (Listopad 1918); straszliwa, haniebna zbrodnia, jakiej dzieci owej „kościotrupiej przeszłości" dopuścili się na osobie i życiu pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej (Szafot); plugastwo duchowe, brak idei, groźna pustka zamiast entuzjazmu, oddania i ofiarności, zamiast pracy nad ugruntowywaniem zrębów państwowych wyzwolonej z pętów niewoli Ojczyzny (Noc narodowa); to wszystko i wiele innych gorzkich, bolesnych rzeczy wytyka swojemu narodowi poeta samotny, lecz naród swój kochający tak żarliwie i tak bałwochwalczo, jak tylko poeci kochać swe narody umieją.

III.

Wizja współczesnej Polski jest tłem tylko w książce Wierzyńskiego. Na tle tem widzimy postać Wielkiego Budowniczego niepodległości polskiej, niepodległości nietylko formalnej, lecz i duchowej. On to właśnie jest w książce Wierzyńskiego symbolem owej wolności tragicznej.

Wierzyński zrozumiał i temu rozumieniu swojemu potrafił nadać najwyższy kształt artystycznego wyrazu — czem był Piłsudski dla Polski. Dlaczegóż wolność „tragiczna"? Gdzież tu tragizm w radosnym dziejowym fakcie odbudowania własnej, suwerennej i potężnej państwowości?

Właśnie o to chodzi, że Piłsudskiemu nie wystarczało samo odzyskanie suwerenności państwowej. Była przecie Polska państwem niepodległem przed rozbiorami; w zbiorowej psychice narodu potworzyły się jednak jakieś przepaście, jakieś tragiczne wyrwy, których nikt przed Piłsudskim nie umiał wyrównać a których wyrównaniu poświęcił Piłsudski całe swoje życie, cały genjusz swój i wszystkie swe siły.

Autor Wolności tragicznej ukazuje w swych doskonałych nieskazitelnych wierszach tę monumentalną i jakże tragiczną działalność Józefa Piłsudskiego, który z własnym narodem toczyć musiał zażartą walkę najpierw o dźwignięcie z niewoli państwa, potem o wyzwolenie i odrodzenie duszy polskiej, o wyrównanie tych właśnie wyrw w psychice narodowej, dzięki którym możliwe się stały rozbiory.

„Ta sama pustka włóczy się dzisiaj, co ongi,
Ta sama leży ziemia, z której przerażenia
Tak łatwo się wyrasta i rysy odmienia,
Gdzie rozpaczliwie mija wszystko, co się stało,
Naród gotów jest podleć i paść byle z chwałą,
Gdzie brać sto lat po pysku tyle potem znaczy
Co obchód narodowy, zabobon siepaczy,
Nikogo prawda klęski odbita na czole
Nie pali pomazaniem i w oczy nie kole,
Nikt hańby nie pamięta, dłużej się nie trudzi
Niż pies, gdy mordą zliże, co sam napaskudzi".

Oto gorzka, okrutna prawda o wolności, którą niedawno Wierzyński nazywa „tragiczną" a którą uświadamia sobie Wielki Samotnik w zaciszu białego, belwederskiego pałacu, podczas bezsennej nocy po demonstracji bezrobotnych, którą dla większego udramatyzowania idei utworu autor Wolności tragicznej „aranżuje" w jednym ze swoich wierszy (Rozmowa z Baryką), składających się na treść omawianego tu dzieła.

Wyprowadza Wierzyński działalność Piłsudskiego z najpiękniejszych tradycyj 1863 roku, dając w wierszu p. t. Klechda taki oto obraz genezy dziejowej tej działalności:

„A ponad światem — zjawy. Zadźwięczało strzemię,
Tabun przeleciał niebem, zadudnił w obłoku,
Gniewnym galopem pognał i okrążył ziemię,
W chrapach ma wiatr huczący, lunę kopyt w skoku,
Zatacza koła ogniem, wije wielki wieniec
Nad ciemnością, nad sztywną paradą szubienic
I wyjeżdża co nocy wypatrywać zgóry
Broni złożonej w kozły i wdole ogniska —
...Kto? Pułk wojska czy klechda? Koń w zbroi czy chmury?
Po lasach szumią groby. Nikt nie widział zbliska.
— — — — — — — — — — —
Wtedy śród głuszy leśnej on wracał do domu,
Wiedział, że w sercach pusto, że groby — niczyje.
Stanął tętent na chmurach, nie zląkł się ogromu
I zapukał do okien. Patrzcie, blask z nich bije".

Idą potem próby organizowania wojska, idą Legjony, idzie rok 1918, idzie zwycięski rok 1920, idą tragiczne zmagania Bohatera Narodowego z własnym narodem o przyszłe oblicze duchowe Polski; doprowadza Wierzyński swą epopeję do bolesnego roku 1935-go. I tu znów, jak nikt z poetów, którzy w twórczości swej oddali hołd nieśmiertelnej pamięci Zmarłego, umiał Wierzyński zamknąć w swych wierszach cały ogrom bólu, i rozpaczy, i nieszczęścia osieroconego narodu.

„Trumno, trumno wysoko!
Jakie wieziesz gruzy,
Ile ruin w mrok twego zapadło się wieka?
W nieruchomej szkatule, cichej i niedużej,
Chcesz zamknąć bożą chmurę?
Ty myślisz — człowieka!"

Woła w wierszu Werbel żałobny owa bolesna rozpacz narodu. Poczem — jakże wymowne załamanie rąk:

„I zostaliśmy sami na mrok potłuczeni".

Niema, naprawdę niema piękniejszych wierszy o Józefie Piłsudskim, niż wiersze Wierzyńskiego z Wolności tragicznej. Niema wogóle piękniejszych wierszy w powojennej poezji polskiej. I nie będzie to wrażenie chwili, ani wzruszenie, ani lekkomyślność w wydawaniu ocen: tak jest w istocie. Wierzyński po Wolności tragicznej jest w Polsce pierwszym, czołowym poetą. Prawdziwie narodowym, prawdziwie polskim poetą. Mówimy to z całą radością.

Jan Szczawiej

*) Kazimierz Wierzyński: **Wolność tragiczna**. Warszawa, 1936.

Konfederacja Barska

Zagadnienie ruchów masowych, ich dynamiki i ich roli w życiu narodu nie przestaje być jednem z socjologicznie najciekawszych zagadnień obecnej doby, a analizie ich sporo miejsca poświęcają nauka i publicystyka. Z tego też stanowiska wypływa nasz stosunek do podobnych ruchów w historji, a w historji Polski szczególnie. Z tych, Konfederacja Barska, największy ruch masowy XVIII wieku, ułamkowo dotychczas traktowana i biegunowo sprzecznemi sądami obdarzana, doczekała się ostatnio obszernej monografji pióra prof. Wł. Konopczyńskiego, której tom I, obejmujący lata 1768—1770 ostatnio opuścił prasę.

Monografja ta, to owoc żmudnych i wytrwałych prac autora od lat 25; nic więc dziwnego, że przez te ćwierć wieku autor tak się „zżył" z opisywanemi postaciami, że ich charakterystyki wypadły jakby osób żyjących. Obficie wyzyskane materjały archiwalne z całej Europy umożliwiły drobiazgowe zestawienie przebiegu wydarzeń na terenie działań konfederacji i za jej kulisami, i ich genetyczną łączność. Choć prof. Konopczyński stara się o możliwie bezstronny sąd o ludziach i wypadkach, to jednak w tragicznym konflikcie Czartoryscy (i król) contra Bar, staje sympatjami po stronie ostatniej, nie zamykając jednak oczu na minusy przedewszystkiem przywódców „barzan", zwykle dawnych „radomian", czekających tylko okazji, aby wrócić do klamki ambasadora rosyjskiego. Z osób „barskich" największemi łaskami cieszy się u autora postać biskupa Adama Krasińskiego, no i dość epizodycznie tu potraktowana, bo w osobnej monografji przedstawiona, osoba „królobójcy", starosty zezulinieckiego, „exula", bohatersko później „za naszą wolność i waszą" pod Savannah poległego i na drugiej półkuli do dziś dnia czczonego — Kazimierza Pułaskiego.

Ale o ile przywódcy barscy nie znajdują u autora szczególnych względów, a ich małostkowość i partykularyzm opisane są z właściwą autorowi ironją, o tyle szara masa szlachecka potraktowana jest z dużą dozą sympatji. Znać tu sympatje autora, czynnego działacza Stronnictwa Narodowego do tego całego religjancko-fanatycznego nastroju, zabarwionego silną dawką nietolerancji i mistycyzmu. W niejednem miejscu wręcz zdawałoby się, że autor opisując te odległe wydarzenia ma dużo nam bliższe wypadki na myśli...

Z drugiej znów strony, nie można powiedzieć, aby autor lekceważył państwowotwórcze wartości obozu Czartoryskich i Stanisława Augusta. Może najsilniej w swym tragiźmie wypadły momenty starań tego obozu o porozumienie się z „barzanami", o pozyskanie sympatji mas i pewnego oparcia w narodzie — starania, które bynajmniej nie znajdywały zrozumienia u „barzan", a nawet wręcz przeciwnie napotykały na opór, zaciekłych w swej nienawiści do „tyranji" Czartoryskich, przywódców barskich.

W książce prof. Konopczyńskiego jeden jest brak zasadniczy: nie wyjaśnia nam autor genezy dynamiki ruchu barskiego. Czy hasła walki z tyranją, z Moskwą, hasła obrony wiary przed „zakusami" dysydentów

mogły porwać takie tłumy szlachty bez pewnego oparcia o stan jakiegoś istotnego fermentu i niezadowolenia? A jeżeli te nastroje były, to z czego one wypływały, może z przyczyn ekonomicznych, a w takim razie jakich?

Niewątpliwie silnym motorem była też zależność tych mas od magnatów, tych wszystkich Potockich, Radziwiłłów, Mniszchów, u których znów dużą rolę grała animozja do ograniczającego ich wpływy, obozu reformatorskiego. Ale dlaczego te elementy, które w r. 1767 szły w Radomiu pod batutą Repnina, tak łatwo potem poszły na lep barskiej antyrosyjskiej agitacji — jakie to więc były elementy, jaka była ich istotna wartość?

Tej analizy jakości elementu barskiego brak w książce — być może, że znajdzie się ona w tomie drugim. Tam też może znajdziemy odpowiedź na dręczące nas ciągle pytanie CZEM była Konfederacja Barska? Czy ostatniem ogniwem odruchów drobnoszlacheckiego warcholstwa i rebeljanctwa czy zarzewiem partyzantki powstańczej, pierwszem ogniwem ruchów niepodległościowych? Czy była tylko odruchem reakcji i wstecznictwa czy niosła nowe twórcze myśli i pierwiastki w życie narodu?

J. R.

PRZEGLĄD PRASY

O rolę Wodza Naczelnego

Ogłoszenie okólnika p. premjera Składkowskiego, w którym, zgodnie z wolą Prezydenta, zarządza on okazywanie gen. Rydzowi-Smigłemu objawów honoru i posłuszeństwa, jako pierwszemu obrońcy ojczyzny i pierwszemu współpracownikowi głowy państwa, wywołało liczne komentarze prasowe. Oczywiście najmiarodajniejszych szukać należy w „POLSCE ZBROJNEJ" i w „KURJERZE PORANNYM".

Ten ostatni podkreśla przedewszystkiem, że akt p. premjera nie wprowadza żadnej inowacji do naszego życia politycznego. Sankcjonuje on bowiem stan rzeczy, który „istniał od dnia zgonu Marszałka, a brał początek właśnie z ostatniej Jego woli, zawartej w ustnym testamencie".

„Wielki Marszałek, przekazując gen. Rydzowi-Smigłemu pieczę nad obroną Polski, uczynił go tem samem spadkobiercą i dziedzicem najważniejszej, czołowej funkcji państwowej w odrodzonej Rzeczypospolitej. Polska bowiem jest krajem, który żyć, pracować i rozwijać się może tylko w cieniu swego miecza. Nie znaczy to, aby w charakterze narodu polskiego tkwiły silniejsze, niż w naturze jego sąsiadów, popędy wojowniczości lub agresji. Nic podobnego. Minione dzieje nasze wskazują, że w Europie nie było, zdaje się, narodu, któryby męstwo i waleczność w potrzebie łączył z głębszem umiłowaniem pokoju i zgody z sąsiadami. Ale też same dzieje nas pouczają, że wolność i niepodległość zachować możemy jedynie pod warunkiem ustawicznie wytężonej psychicznej i materjalnej gotowości bojowej".

Gen. Rydz-Smigły ma właśnie czuwać nad utrzymaniem i spotęgowaniem tej gotowości. Upatrzony na Naczelnego Wodza, musi — pisze „POLSKA ZBROJNA" — wgryźć się w istotną treść nowożytnego państwa i przygotować do przyszłych zadań wszystkie jego komórki żywotne. Dlatego powinien mieć decydujący wpływ na najważniejsze elementy życia państwowego:

„Organizacja przemysłu wojennego, przygotowanie organizmu gospodarczo-finansowego do przygotowania pokojowego i przejścia do pracy na rzecz wojny i zwycięstwa, zagadnienie samowystarczalności przemysłowo-rolniczej i surowcowej — oto jedna wielka grupa zagadnień.

Przemyślenie i przygotowanie sprawy organizacji sił i środków pracy na wypadek wojny oraz zagadnienie komunikacyjno - transportowe i łączności w najszerszem tego słowa znaczeniu, to grupa druga.

Sprawa tężyzny i gotowości fizycznej i duchowej narodu — to trzeci zespół zainteresowań. A więc wpływ na kierunek wychowania wogóle (a na należyte postawienie tego, co określamy przysposobieniem wojskowem w szczególności) i piecza nad twardym i zdrowym kośćcem, organizacyjnie zespalającym społeczeństwo".

Okólnik gen. Sławoj-Składkowskiego uwypukla wielkie istotnie znaczenie Naczelnego Wodza już w czasie pokoju.

Prasa opozycyjna nie wybiega w przyszłość — stara się znaleźć motywy tego posunięcia w politycznej przeszłości i teraźniejszości „WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY" stwierdza, że odzwierciadla ono ewolucję, jaką odbywa obóz rządowy:

„Obóz ten usiłował pod koniec życia marszałka Piłsudskiego i po jego zgonie wytworzyć ściślejszy, oparty na określonych zasadach ustrojowych, system rządów w Polsce. Wyrazem tego była konstytucja kwietniowa, którą uznano, ze względu na figurujący pod nią podpis marszałka, za jego pisany testament. „Od dziś rządzić nami będzie tylko prawo" — obwieścił ówczesny premjer, p. Sławek, zalecając narodowi nową konstytucję.

Okazało się jednak, że obóz rządowy nie jest w stanie istnieć, gdy rządzi tylko prawo. Obóz ten nie tyle potrzebuje prawa, co wodza".

„ROBOTNIK" zwraca przedewszystkiem uwagę na fakt, że pismo premjera odnosi się do osoby gen. Rydza-Smigłego, a nie do urzędu generalnego inspektora sił zbrojnych jako takiego. Jest on zdania, że choć potwierdzono w ten sposób tylko stan faktyczny, który istnieje od chwili objęcia władzy przez gabinet Sławoja-Składkowskiego, to jednak krok ten stanowi

„dość gruntowną zmianę w całym „nowym ustroju politycznym" według koncepcji p. Sławka. Mamy rodzaj „duumviratu" w naczelnem kierownictwie Państwem, „duumviratu" (dwóch mężów kierujących), któremu podlega aparat władzy wykonawczej „z prezesem Rady Ministrów na czele" i wobec którego odchodzą na plan drugi (stosunkowo) przedstawiciele Izb ustawodawczych.

Pismo p. gen. Sławoja - Składkowskiego podkreśla pośrednio — zresztą zupełnie słusznie — całą nieżyciowość koncepcji ustrojowej (sprzed niewielu miesięcy) p. Sławka i kierownictwa rozwiązanego B. B. W. R.

Z ostatnim tym wnioskiem zgadza się felietonista „NASZEGO PRZEGLĄDU" — Regnis. Wspominając przy okazji odziedziczoną po pulk. Sławku spuściznę ustrojową, pisze:

„Legenda i nowe akty konstytucyjne stopniowo uśmiercają poszczególne paragrafy stworzonego przez niego dzieła. A dzieje się to pod hasłem nowych zadań w dziedzinie polityki wewnętrznej i cięższych prób, które oczekują Polskę w dziedzinie polityki zagranicznej w obliczu dni ostatnich".

Jest rzeczą charakterystyczną, że pisma opozycyjne ograniczyły się naogół do zanalizowania nowego porządku, ustanowionego w dniu 13 lipca, nie ujawniając własnego zdania, tak dobitnie wyrażanego choćby w okresie wprowadzenia w życie nowej konstytucji czy ordynacyj wyborczych. Wyraźnie niezadowolone jest natomiast wileńskie „SŁOWO". Jego redaktor naczelny kwestjonuje przedewszystkiem potrzebę takiego okólnika:

„Autorytet jest rzeczą nieuchwytną, żaden okólnik, żadna chociażby najbardziej uroczysta tablica rang nie zmieni czyjegoś autorytetu, ani na jeden punkt. Generał Rydz Smigły czem był, tem pozostał i przed i po okólniku. A więc poco był ten okólnik potrzebny".

Dalej p. Cat ma wątpliwości konstytucyjne i drażliwości. Okólnik jest normą prawną, więc

„co będzie jeśli P. Prezydent będzie innego zdania, a generał Rydz Smigły innego. Komu winien będzie Prezes Rady Ministrów posłuszeństwo: Prezydentowi i konstytucji, czy generałowi i okólnikowi. Albo inny przykład mniej drażliwy. Co będzie jeśli gen. Rydz Smigły zostanie obrany Prezydentem, albo co będzie jeśli generał Rydz Smigły sam zostanie mianowany Prezesem Rady Ministrów".

Wreszcie i ze strony formalnej pismo p. premjera wywołuje w redakcji „Słowa" pewne zastrzeżenia:

„Pan Prezydent wyraża swą wolę w konstytucyjnie przewidzianych formach, w orędziach, w ustawach przez siebie podpisywanych i w dekretach, konstytucja nie przewiduje wyjawiania woli Prezydenta Rzeczypospolitej zwłaszcza w sprawie takiej wagi w okólniku Prezesa Rady Ministrów".

Zupełnie odrębne, entuzjastyczne stanowisko zajął „MERKURJUSZ POLSKI". Uważając, że

„Niewiele, w ciągu całych osiemnastu lat naszej historji powojennej, można zanotować aktów państwowych tej doniosłości i pożytku, co rozporządzenie P. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13 lipca",

wagę tego aktu widzi w tem przedewszystkiem, że wypływa on z narodowego poczucia prawno - państwowego:

„Po raz pierwszy od lat 18-tu zdarzyło się, że jeden z węgłów konstytucji polskiej oparto na fundamencie rodzimym. Po raz pierwszy dano Polakom, i to na ważnym odcinku, żyć własnym trybem".

Sięgnięto do tradycyj Polski Hetmańskiej, bowiem

„Generalny Inspektor Sił Zbrojnych — to Hetman Wielki Koronny. Oto fakt, który wyjaśnia to niezrozumiałe z punktu widzenia książkowej nauki o państwie zjawisko, że w republikańskim niby ustroju, jaki tu mamy — p. Generał Rydz-Smigły jest pierwszą po Prezydencie osobą".

Dlatego data 13 lipca 1936 r. może stać się — zdaniem Merkurjusza — datą historyczną, ponieważ właściwy i zdrowy jest ten ustrój państwowy, który zbudowany jest na fundamentach rodzimych.

W celu uniknięcia przerwy w dostarczaniu „Narodu i Państwo" wyjeżdżającym na wakacje, prosimy o wczesne i dokładne podawanie adresów wakacyjnych, oraz o zaznaczenie okresu czasu, na który zmiana adresu nastąpiła

ADMINISTRACJA

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771 ,lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Z. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33 w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem